

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 3 VIII. 1952 r.

Nr 31 (355)

W NUMERZE:

T. ORLEWICZ — Chłopi Niemiec Zachodnich.
J. STAWINSKI — Cesarz odszedł — generałowie zostali.
Z. KUBALSKI — Na przedwojennym targu.
H. ZAWORSKA — Czołówka 1952 roku.
A. WITKOWSKA — Radziecka powieść o studentach.
Z. ZALEWSKI — Złot młodych.
J. RURAWSKI — Pamiętnik z pierwszej linii.
T. MURAS — O pozytywnym bohaterze nowej wsi.
D. WIELOWIEYSKA — Spółdzielnia kobiet.

STANISŁAW CIEŚLAK

KOMUNIZM JUŻ BLISKO

„ELEKTRYFIKACJA na gruncie ustroju radzieckiego — pisał Lenin w 1920 roku — stworzy ostateczne zwycięstwo podstaw komunizmu w naszym kraju, podstaw kulturalnego życia bez wyzyskiwaczy, bez kapitalistów, bez obszarników, bez kupców”.

W chwili wypowiedziania tych słów młoda Republika Radziecka miała już poza sobą budowę pierwszej „większej” elektrowni o mocy 6400 kW i przystępowała do budowy „kołosa-elektrowni” o mocy 8700 kW. A dopiero w roku 1924 Zakłady imienia Stalina wykonały dwie pierwsze, radzieckie turbiny wodne, jedną o mocy 55 kW drugą o mocy 370 kW.

Świat ówczesny, za wyjątkiem najbliższych współpracowników Lenina ze Stalinem na czele, ocenił te słowa Lenina jako uszczytne marzenie oderwane od rzeczywistości.

Ale przemawiał wówczas człowiek, który miał jasną świadomość wspieranej perspektywy, pełnego podporządkowania człowiekowi przyrody na podstawie poznania jej praw, wpręgnięcia przyrody w nieskończoność dotychczas skali w służbę ludzkości na bazie bujnego rozwoju sił wytwórczych i nauki w społeczeństwie bezklasowym.

Dziś po 32 latach od przemówienia Lenina te same Zakłady im. Stalina, które z ogromnym wysiłkiem zbudowały w r. 1924 pierwszą radziecką turbinę o mocy 65 kW, przystąpiły już do budowy turbiny dla Kujbyszewskiej Elektrowni Wodnej o mocy... 2 milionów kW, a więc turbiny trzydziści razy większej od największej do dziś dnia na świecie turbiny Dniepru o mocy 65 tys. kW.

Maszyn tego rodzaju nie ma dotychczas na świecie. Ogólna wysokość turbiny i prądnicy wynosić będzie 40 metrów, czyli inaczej mówiąc będzie się równać wysokości 10-piętrowego domu, 10 miliardów kW, których dostarczyć rocznie ta turbina równa się pod względem mocy jednocześnie wysiłkowi 50 milionów ludzi, a wystarczyłaby ta moc dla wyprodukowania 4,4 milionów traktorów lub 12,5 milionów samochodów.

Drugą taką pamiętną datą, którą we wzruszeniu wspominają lu-

dzie radzieccy — to 9 lutego 1946 roku. Dzień w którym Józef Stalin występując na zebraniu przedwojennym w Moskwie, nakreślił przed narodem wielki program i wielką perspektywę budownictwa komunizmu.

„Co się tyczy planów na dłuższy okres czasu — mówił wówczas Stalin — to partia zamierza pchnąć gospodarkę narodową na drogę nowego, potężnego rozwoju, który pozwoliłby nam podnieść nasz przemysł na poziom, powiedzmy trzykrotnie wyższy, aniżeli poziom naszego przemysłu przedwojennego. Musimy dopiąć tego, by przemysł nasz mógł produkować rocznie do 50 milionów ton surowicy żelaznej, do 60 milionów ton stali, do 500 milionów ton węgla, do 60 milionów ton ropy naftowej”.

Od wypowiedzenia tych słów minęło zaledwie sześć lat, gdy oddany został do użytku (na dwa lata przed wyznaczonym uchwałą Rady Ministrów ZSRR terminem!) Wołżańsko-Doński Kanał Żeglowny im. Lenina — pierwsza budowa komunizmu.

Moskwa stała się portem 5 mórz. Na trasie Moskwa — Rostów, długości 3267 km rozpoczęła się normalna żegluga towarowa. Statkami o wyporności 3 tysiące ton płynęły na północ doniecki węgiel, wyroby hutnicze, ruda manganowa, pszenica Ukrainy i Północnego Kaukazu, na południe w kierunku Morza Czarnego przewozi się ropę naftową z dorzecza Wołgi, budulec drzewny, produkty chemiczne, maszyny itp. z Moskiewskiego Okręgu Przemysłowego.

Elektrownia Cymlińska o mocy 150 tys. kW przy zaporze spiętrzającej wody Donu na wysokości 26 metrów i przepuszczającej 20 tys. metrów sześciennych wody na godzinę, uruchomiła już dwie potężne turbiny, montuje trzecią. Już w tym roku obszar uprawy ZSRR powiększył się dzięki nawodnieniu pustyni i stepów o przeszło 200 tys. ha, w których zbiorzy pszenicy planuje się na 30 — 40 q z ha, ryżu 30—45 q z ha, bawełny 20—25 q z ha, warzyw 300—400 q z ha itd. W najbliższym czasie na pola orne i na pastwiska (o wydajności rocznej od 60—100 q siana) zamieni się dalszych 2,5 miliona ha stepów i półpustyni nad Donem i Wołgą w zaplecze po różnych ośrodkach prze-

mystowych: Rostowa, Szachty, Nowoczerkaska, Taganrog...

Tempo budowy kanału Wołga — Don nie ma precedensu w historii. Wystarczy przypomnieć, że budowa kanału Sueskiego (161 km długości) trwała 22 lata, a budowa kanału Pomorskiego (78 km) — 35 lat, budowa kanału Wołga — Don (w warunkach o wiele trudniejszych, bo na gruncie piaszczystym, nie skalistym) — 2 lata.

Niezwykle szybkie tempo budowy zaudziwiać należy wielkiemu entuzjizmowi budowniczych radzieckich, szybkiemu opanowaniu przez nich nowej, komunistycznej techniki (mechanizacja robót ziemnych w 98 proc., układania betonu w 100 proc., innych prac w 90 proc.) oraz wyposażeniu całej budowy w najnowocześniejsze, nigdy dotąd nie stosowane maszyny.

Koparka krocząca o czerpaku pojemności 14 m sześć. — (zastępująca pracę 35 tysięcy kopaczy i 75 tysięcy parokonnnych wozów) o wydajności 20 tys. m sześć. ziemi na dobę, obrznięte buldożery, równające w ciągu doby powierzchnię 6-8 ha, potężne pompy ziemne, które wydobywają i transportują 1000 m sześć. ziemi na godzinę przy pomocy niezwykłego silnego srumienia wody, samochody-wywrotki o pojemności 25 ton, dźwigi o nośności 450 ton, kombajny do rucia kanałów i wiele innych maszyn i urządzeń — oto wyposażenie budowniczych kanału Wołga-Don.

Zastosowanie takich maszyn pozwoliło usunąć w ciągu jednego sezonu robót 31 mil. m sześć. ziemi na trasie kanału Wołga — Don. Ziemia ta usypana w kształcie piramidy o podstawie 300/300 m sięgałaby swym wierzchołkiem na wys. 1000 metrów!

Również prace przy budowie największej elektrowni świata w Kujbyszewie posuwają się szybko naprzód. Mimo, że elektrownia ruszyła dopiero w r. 1955 rozpoczęto już jednocześnie budowę na trasie 900 km masztów wysokiego napięcia każdy o wadze 8 ton i 28 m wysokości, po których pod napięciem 400 tys. woltów popłynę 10 miliardów kWh do Moskwy.

Na trasie głównego Kanału Turkmeneńskiego (1100 km) powstają już liczne bazy materiałów budowlanych, maszyn i urządzeń te-

chnicznych, w końcowej fazie są już prace nad dokumentacją naukowo-techniczną.

Przy budowie Kachowskiej Elektrowni Wodnej na Dnieprze trwają wielkie roboty ziemne, wydobyto już ponad 2 miliony m sześć. ziemi. Szybko posuwają się również naprzód skomplikowane prace badawcze i wytyczanie na gruncie trasy kanału północno-krymskiego (550 km!). W Stalingradzie położono już fundamenty betonowe pod elektrownię - gigant o mocy 1700 tys. kW i rozpoczęto budowę kolejki linowej nad Wołgą dla szybkiego transportu materiałów budowlanych.

Szybko rośnie ekonomiczno-techniczna baza komunizmu, narody radzieckie zmieniają oblicze swego kraju, odwracają rzeki, zamieniają pustynie i stepy na pola uprawne, pokrywają cały swój piękny kraj gęstą siecią kanałów żeglownych, zdobywają nowe, niewyczerpane źródła energii dla dalszej rozbudowy przemysłu i jego mechanizacji, dla elektryfikacji rolnictwa i transportu. Narody radzieckie pod kierownictwem Stalina otwierają nową epokę historii, w której na bazie obfitości dóbr każdy otrzyma według swych potrzeb, w której na bazie wysokiego poziomu techniki zniknie różnica między pracą fizyczną a umysłową, w której na bazie wysokiego poziomu sił wytwórczych przezwyciężona zostanie ostatecznie odwieczna różnica między życiem na wsi a w mieście. Wielkie budowe komunizmu przygotowują grunt pod tę już bardzo bliską epokę.

Naród Polski i jego masy pracujące są dopiero u początku tej drogi wyzwolenia się z nędzy i wyzysku, z ciężkiego jarzma żywołowych praw rządzących gospodarką kapitalistyczną, jakie przynosiły masom pracującym ucisk i niesprawiedliwość. Wznosząc wielkie budowle socjalizmu: Nową Hutę, Dwory, Żerani, Wierzbice, i setki im podobnych obiektów przemysłowych, przebudowując rolnictwo w kierunku socjalizmu, rozwijając oświatę i kulturę narodową patrzymy z dumą i ze wzruszeniem na wielkie osiągnięcia i plany ludzi radzieckich, jako na rzecz nam drogą i bliską, jako na własną perspektywę rozwoju.

Stanisław Cieślak



1950.

POCZUCIE PRZYSZŁOŚCI

Gdy jesienią 1950 roku byłem na Wołgę — Donie, bardziej niż wszystko inne uderzyła mnie jasność, rzeźbim, że aż codzienna w swej oczywistości jasność, z jaką budowniczo wie Kanału widzieli przyszłość. Konstruktor może nie raz bez trudu kreślić w myśli kształt nowej maszyny, malarz — widzieć bez trudu zarys nowego obrazu. Ktoż jednak potrafi dojrzeć krajobraz przyszłości we wszystkich jego szczegółach?

Pierwsza służa była w tym czasie jamą, pełną niewypompowanej wody. Brzeg Wołgi pokrywały zwaly czerwono - rudej ziemi. Z trudem brnęliśmy przez te góry lepkiej, czepliwej gliny. Dotarłem do Czapurnika i ośrodka leśnych pasów ochronnych bez przecinania dna kanału: linia wykupu z ciągnącym się wzdłuż garbem dobytej ziemi raz po raz się urywała, krocząca koparka zaczynała dopiero wgrzyzać się w dziel wodny. A jednak każdy krąg spotkania mówił o trasie kanału z taką

wyrazistością, jakby go miał przed oczyma.

Jadąc na przelaz ogromnym polem, już za działem wodnym, trafiałem na budowę osiedla. Okna wszystkich domów wychodziły na jedną stronę. Dlaczego? Odpowiedziano mi: stawiamy je z widokiem na przyszłe morze!

Nigdy nie zapomnę widoku dwóch wymoszczonych wień betonowych wśród gołego siewu. Były to filary przyszłego mostu. Most wyrastał na suchy równinie, w przewidywaniu rzeki przyszłości.

Tak, to można oglądać krajobraz jutrzejszego dnia! Ustrój radziecki nauczył naszych ludzi myśleć przyszłością.

Mikołaj Michajłow

zarządzeń o kwiatach i drzewach przez naczelnika wydziału politycznego, głównego inżyniera i we wszystkich biurach odcinków. Zagadnienie trawników i kwiatników omawiano na równi ze sprawą układania betonu. Beton i kwiaty stały się nierozdzielalną częścią wielkiej budowy.

Naczelnik biura zieleni, człowiek cichy i skromny (tylko szereg wstążeczek orderowych na piersi mówił o jego drodze bojowej), przez szereg godzin odmalowywał mi obraz pasów leśnych, jakie powstaną wzdłuż kanału. Mówił bez żadnego patosu, lecz jego słowa były przejmujące:

— Wszystko tu będzie pokryte wodą, na powierzchni zostanie tyl-

1952.

SZTORM NA MORZU

W Morzu Cymlińskim nagromadzone już 11 miliardów metrów sześciennych wody. Znalazłem się na kutrze płynącym z Kalacza do Nowosolenowska. Na trasie raz po raz na próżno przebiegałem wzrokiem horyzont — brzegów ani na prawo, ani na lewo nie było widać.

Budowniczo wie węzła wodnego przywykli już jakoś do skali swych prac. Cóż, zbiornik wody o powierzchni dwóch tysięcy kilometrów kwadr., o różnicy między poziomem morza i Donu w owej chwili równej 20 metrom...

Nagle w pobliżach maja na Cymlińskim zbiorniku wodnym rozszalał się pierwszy sztorm. Wysokość

ko las i zieleń. Stworzymy tu krajobraz komunizmu. Mamy przed sobą zadanie zabezpieczenia kanału przed ciągłym się dokola stepem i uregulowania reżimu wody.

Po czym, jakby nawiąsem, wymienię kilka liczb. Plan grudniowy przewiduje 2.000 drzew. Plan wiosny 1952 r. — 12.000 drzew dorosłych, ponad milion sadzonek, 22 miliony siewek różnego gatunku drzew...

Dziś, gdy wśród zielonych brzegów kanału płyną parowce, wspominam z uczuciem niezmiernie dumy z ludzi radzieckich, owe ciężkie dni grudnia, kiedy nie zważając na niewiarygodne trudności budownictwa tworzyli obraz wiosny komunizmu.

Eugeniusz Dołmatowski

fali dochodziła do dwóch i pół metra. Młoda istota, jakby chcąc pokazać swoją moc olbrzyma, tak rozhułała się, że zaczęła wyrządzać szkody. Na betonową pochyłość zapory fale zaczęły wyrzucać belki, deski, drzewa wyrwane z korzeniami, a nawet kuter rzeczny, który nie umknął w porę, a który rozbił na drzazgi. Były też i inne przykrości.

I wtedy nastąpiła rzecz nieoczekiwana: twórcy morza, budownictwo gigantycznej zapory i hydroelektrowni zaczęli się cieszyć. Jak gdyby otworzyli im się oczy na to, co sami stworzyli, jak gdyby pojęli jasnie całą wielkość możliwości i sił radzieckiego człowieka.

— A więc to tak! A więc to prawdziwe morze! Nie ma z nim teraz żartów. Trzeba go dobrze pilnować!

Wśród spalonego stepu wyłonił się olbrzymi zbiornik wodny i w oczach mniejszej ludności wszystko dokola zaczęło się zmieniać. Brzegi za-

zieleniły się trawą, i to taką jakiej tu dawniej nigdy nie widywano. Przybyło nieba i światła, lżej było oddychać i żyć. Aż się napatrzyć i nacieszyć nie można...

Aleksander Jaszin

27.VII.1952. SYMBOL POTEGI I PRZYJAŹNI NARODÓW

W tym dniu przepełnionym powszechną radością wspominam groźne lato 1942 roku...

Nasza formacja wojskowa zbliżała się do planowanego Stalingradu. Dokoła rozpościerał się step wypalony żarem. Ja i mój krajan, Chamid Sultanow, niemłody już kołchoznik z Kuszarenkowskiego rejonu Baszkirii staliśmy przy otwartych drzwiach wagonu. Sultanow patrzył smutnie w dale stepowe i milczące. Gdy pociąg stanął, mój krajan ujął w ręce garść ziemi, rozłaził ją, powąchał, nawet posmakował, pokłapał głową i z jeszcze większym smutkiem popatrzył w bezkresne dale.

— Ileż to ziemi ginie na marne — powiedział ciężko wzdychając — ileż to jej ginie!

Zrozumiałem, że w tym rolniku z działa - pradziada znieważone zostało uczucie miłości do ziemi, jako źródła życia.

W tej właśnie chwili dowódca kompanii ogłosił, że póki nie dojdziemy do Wołgi wprowadzą się racje wody do picia: półtora litra dziennie na żołnierza.

Wiadomość ta oszołomiła zupełnie mego krajana. Widocznie w świadomości człowieka znajd brzegów wie-

lowodnej Ak-Ideli nie mogła się pomieścić myśl o racjonowaniu wody. Podszedł do nas komisarz formacji i, dowiedziawszy się o zmartwieniu Chamida Sultanowa, powiedział:

— To gorzkie dziedzictwo starego świata. Ale niech tylko pokona nas faszyzowski zaraz, a rozpoczniemy szturm na złe siły przyrody, ożyjemy te martwe ziemie i każemy im zakwitnąć.

Sultanow stanął na baczność i z najwyższą powagą i przekonaniem odpowiedział:

— Tak jest, towarzyszu komisarzu. Tak właśnie zrobimy!

I tak właśnie zrobili! Kanał Wołżańsko-Doński budował cały nasz kraj, w tej budowie udział brali wszystkie radzieckie narody.

Wołgo-Don łączy nie tylko dwie wielkie rzeki oraz pięć mórz. Symbolizuje niewzruszoną przyjaźń narodów radzieckiej Ojczyzny. Jak rzeki i morza łącząc się, tworzą jednolitą i potężną całość, tak przyjaźń naszych narodów stanowi niezwyciężoną siłę, zdolną sprawić cuda — kazać rzekom płynąć nowym tożyskiem, a martwe ziemie zmieniać w kwitnące ogrody.

Gajnan Amiri

TADEUSZ ORLEWICZ

CHŁOPI ZACHODNICH NIEMIEC NIE BĘDĄ MIĘSEM ARMATNIM



W Niemczech Zachodnich

KAPITALIZM w rolnictwie rozwijał się różnymi drogami. Lenin określał w zasadzie dwie charakterystyczne drogi rozwoju: amerykańską i pruską, z tym, że nie oznacza to oczywiście, by tylko w USA rozwój kapitalizmu w rolnictwie szedł drogą amerykańską i tylko w Niemczech pruską lub, by te dwie zasadnicze drogi rozwoju nie występowały łącznie w poszczególnych krajach.

Pruską drogę w kapitalizmie charakteryzuje fakt, że średniowieczne stosunki władania ziemią nie ulegały likwidacji od razu, lecz powoli przystosowywały się do kapitalizmu, który wskutek tego jeszcze długo zachowywał cechy na polu feudalizmu. Pruska wielka własność nie została zniszczona przez rewolucję burżuazyjną, lecz ocalała i stała się podstawą gospodarki „junkierskiej”, kapitalistycznej w zasadzie, ale nie mogącej się obyć bez znanych sposobów utrzymania w zależności ludności wiejskiej w rodzaju „Gesindeordnung” itp. (Lenin, Dzieła, t. 15, str. 117, wyd. ros.).

To powolne i męczące przejście od form wyzysku feudalno-pańszczyźnianego do form kapitalistycznego wyzysku, całym swym ciężarem dawało przez wiele dziesięcioleci lat niemieckiej chłopstwu pracujące. Nawet w imperialistycznym stadium kapitalizmu zachowały się tutaj wyraźne przeżytki stosunków feudalnych w rolnictwie, zależności osobistej chłopca od pana, nie mówiąc już o pogłębiającej się zależności ekonomicznej.

Republika Weimarska obalając rząd kaiserowski zachowała w pełni władzę wielkiej burżuazji i wpływy junkierstwa. Zachowała też niekiedy wielkie majątki obszarniczo-junkierskie, liczące nierzadko dziesiątki tysięcy hektarów ziemi. Pozwoliła na dalszą bezkarną grabież wielomilionowej masy chłopstwa mało i średniorolnego. Inflacja szalejąca w Niemczech po pierwszej wojnie światowej oznaczała ruinę klas średnich i kompletnie zubożenie ludzi pracy. Oznaczała ruinę podstawowych mas chłopskich. Ale za to oligarchom przemysłu, kierownikom IG Farben czy magnatom stalowym w Zagłębiu Ruhry inflacja przyniosła ogromne zyski i niezwykle sprzyjające warunki do wzmocnienia koncentracji kapitału w rękach przyszłych finansistów całej zbrodniczej awantury hitlerowskiej. W warunkach takich z chaosu inflacyjnego wyszły obronna ręką wielkie majątki, a tysiące gospodarstw chłopskich padło pod uderzeniem chłycyńskiego młotka, tysiące ograniczyło swoje możliwości produkcyjne, zadłużenia hipoteczne rolnictwa rosły w lawinowym tempie. Rosły równocześnie w siły duże gospodarstwa kulackie, pasyżujące na coraz gorszej sytuacji materialnej podstawowych mas chłopskich i wspierane przez junkiersko-burżuazyjny imperializm niemiecki. Średniowieczna zależność chłopów od dziedziców zbierała swoje ponure żniwo, uwieczniając i hamując rozwój sił produkcyjnych rolnictwa niemieckiego.

Wystarczyło kilkunastu lat rządów hitlerowskich, aby zubożenie i ruina podstawowych mas chłopskich przybrały zastraszające rozmiary. Wywołana przez Hitlera za podżuczeniem wielkiego kapitału druga wojna światowa obraz ten zaostriżyła, nie bowiem tak nie niszczą biedniaka i średniaka czy robotnika rolnego jak wojna zaborcza. W roku 1933, w pierwszym roku w którym Hitler uzyskał z rąk niemieckich magnatów stalowych tytuł kancлера Rzeszy, ilość gospodarstw o powierzchni do 2 ha wynosiła 3.640.000, a w 6 lat później — już 4.420.000. Gospodarki te stanowiły 67 proc. ogólnej ilości gospodarstw niemieckich, a jednak dysponowały zaledwie 4 proc. powierzchni uprawnej kraju. Ilość gospodarstw biedniackich wzrosła o 21 proc., ich łączny obszar zmalał co najmniej o 10 proc. Na drugim biegunie mamy za to 34.000 gospodarstw obszarniczych, które trzymały w swoich rękach czarno 30 proc., a później 40 proc. ogólnego obszaru uprawnego. Pomiedzy tymi grupami gospodarstw mieściła się reszta: średniacy i kulacy, pierwsi — spychani coraz bardziej do rzędu biedniaków, drudzy — rosnący w siły gospodarcze kosztem biedoty i bardzo często kosztem średniaków. Obok nich wielotysięczna armia robotników rolnych, bezrolnych najmitów panoszących się na wsi kapitalu finansowego. Na wsi niemieckiej zaledwie 0,4 proc. gospodarstw posługiwało się w roku 1933 traktorami, ewentualnie plugami mechanicznymi. W tych wielkich majątkach skoncentrowały się i inne maszyny rolnicze, a także prze-

ważająca ilość pogłowia zwłaszcza koni i bydła rogatego. W roku 1939 ponad 60 proc. samodzielnych gospodarstw nie miało koni lub bydła. Zadłużenie rolnictwa w latach dyktatury faszystowskiej osiągnęło niespotykaną wysokość 13 miliardów marek. Niemiecka gospodarka rolna, wpędzona w hitlerowski tryb maszyn, produkująca armaty zamiast masła, czołgi zamiast traktorów, lamala się w coraz głębszych sprzecznościach reżimu faszystowskiego.

Taka sytuacja wyraźnie hamowała rozwój sił wytwórczych rolnictwa niemieckiego. To co się mówiło w propagandzie hitlerowskiej o jego wysokim poziomie dotyczyło tylko cienkiej warstwy bogatych gospodarstw, pasyżujących na ogromnej większości: bezmiar krzywdy i różnic dzielił od wewnątrz wieś niemiecką na wrogie sobie klasy: wyzyskiwaczy i wy-

skiwnych. Co najmniej 67 proc. producentów rolnych nie było w stanie uczestniczyć w odpowiednim stosunku w produkcji towarowej i upadało wraz z poważną częścią średniorolnych w walce konkurencyjnej ze zmechanizowaną większą i wielką gospodarką. Oni też przede wszystkim wypełniali kontyngenty mięsa armatniego, pędzonego przeciwko Krajowi Rad.

Zdawało się więc, że zniszczenie potęgi ekonomicznej junkierstwa i wpływów politycznych kasty szlachecko-junkierskiej, zlikwidowanie przeżytków feudalnych i zapewnienie drogi demokratycznych reform szybkiego rozwoju rolnictwa — to jedynie słuszne wytyczne koniecznych zmian w stosunkach agrarnych Niemiec po obaleniu bestii hitlerowskiej. Jednakże tylko w Niemieckiej Republice Demokratycznej sprawy te zostały rozwiązane zgodnie z interesami gospodarki narodowej. W NRD przeprowadzono plebejską reformę rolną, zlikwidowano obszarnictwo jako klasę i stworzono korzystne warunki dla szybkiej rozbudowy potencjału gospodarczego wschodnio-niemieckiego rolnictwa. Jak w innych dziedzinach życia politycznego i gospodarczego NRD stała się wymownym przykładem dla wszystkich Niemców, jak pracować i walczyć należy dla sprawy narodowej, pokoju i postępu.

W Niemczech Zachodnich w rękach obszarników jest około 7 milionów ha ziemi. Demokratyczna reforma rolna mogłaby z tego co najmniej 5 milionów oddać bezrolnym, malorolnym, przesiedleńcom. A w tej części Niemiec głód ziemi jest szczególnie ostry. Brakło tej ziemi co najmniej 2 milionom rolników. Brakło jej setkom tysięcy przesiedleńców. Za wzorem NRD re-

formy rolnej domagają się najszerzej rzesze chłopskie, wspierane w swoich żądaniach przez Komunistyczną Partię Niemiec, czujne sumienie narodu. Żądania te znajdują wyraz w demonstracjach i strajkach robotników rolnych pospołu z indywidualnymi gospodarzami mało i średniorolnymi. I znajdują wyraz w krzepnącym na bazie walki sojuszu robotniczo-chłopskim pod przewodnictwem proletariatu.

Ale w Niemczech Zachodnich rządzi amerykański imperializm, któremu wiernie służy arystokracja burżuazyjna i junkierska. Nic też dziwnego, że monopolisci z USA nie tylko nie zamierzają zdemokratyzować stosunków agrarnych w okupowanym przez siebie kraju, lecz czynią wszystko, aby dla usłużnych junkrów i obszarników zachować co najmniej dotychczasowe strefy wyzysku. Toteż wypędza się z ziemi setki i tysiące dotychczasowych dzierżawców, aby byłym obszarnikom ze wschodu dawać nowe setki i tysiące hektarów pod eksploatację. Podstawowej masie przesiedleńców nie daje się ani kawałka ziemi. A chłopów zachodnio-niemieckich bez uprzedzenia i bez wynagrodzenia wypędza się z zagrod, niszczy się ich zabudowania, niweluje ziemię, aby budować amerykańskie lotniska, amerykańskie koszarzy, amerykańskie domy publiczne — za pieniądze zachodnio-niemieckiego podatnika.

W ślad za tym idzie przywracanie przez junkrów i obszarników systemu nieludzkich średniowiecznych wyzysku pracującego chłopstwa. „Heuerleute” za nędzne wynagrodzenie pozostają w całkowitej zależności od pana. „Instleute” oddają połowę zbiorów dzierżawcy, niepewnie dnia ani godziny. Setki tysięcy robotników rolnych, tylko nędza

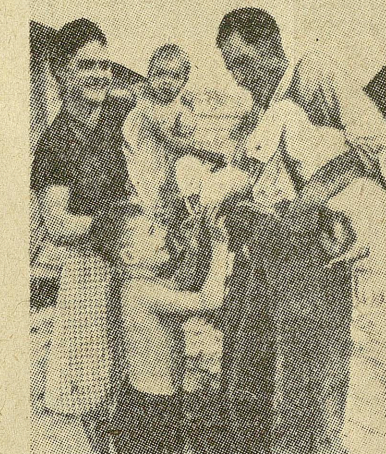
zmusza dzisiaj do pracowania w warunkach tak nieludzkich, że są naigrawaniem się ze wszystkich moralnych i obyczajowych zasad — jak pisze prasa zachodnio-niemiecka. Co im pozostaje? Uciec do miasta? Ale tam szaleje bezrobocie, sięgające już liczby 3 milionów ludzi pozbawionych zarówno pracy jak i nadziei na pracę w tym systemie.

Jeżeli bowiem znowu dymią kominu zbrodniczej IG Farben a stalownie Kruppa pracują pełną parą, jeżeli znowu wielki przemysł niemiecki za zgodą amerykańskich monopolistów kierowany jest przez Thyssenów, Pfordtengów, Teer-Meerów i innych wysłużonych fi-

skie bojówki, ludobójcy stają na czele odradzającego się Wehrmachtu, a Hallstein, tuba Adenauera, wykrzykuje o granicy niemieckiej na Uralu — to płaci za to lud niemiecki terrorem i wpędzaniem go do nowych koszar na nowe mięso armatnie. Płacą Niemcy Zachodnie za zleżalą amerykańską pszenicę, choć złotego ziarna produkcji niemieckiej dosyć mogło być dla potrzeb rynku wewnętrznego. Płacą za stare konserwy z USA, za mleko w proszku, za panoszenie się amerykańskiej soldateski, za rozbicie kraju, za utratę niepodległości.

W takiej sytuacji chłopci zachodnio-niemieccy wyraźnie stwierdzają: „Nasza praca traci wszelki sens, ponieważ magazyny żywnościowe są zawałone amerykańskimi konserwami”. Bo za „opiekę” Wall Street trzeba płacić upadkiem rodzimej produkcji rolnej, nędzą podstawowych mas chłopskich. W roku 1951 powierzchnia zasiewów pszenicy w Niemczech Zachodnich stanowiła zaledwie 80 proc. powierzchni siewnej z roku 1938, powierzchnia jęczmienia — 60 proc., a ziemniaki gniły na polach, bo ludność musiała kupować ziemniaki z USA.

Drogo, bardzo drogo kosztuje ludność Niemiec Zachodnich kolonizacja amerykańska i zdradzieckie rządy marionetkowego kanclerza z Bonn. Chaos i ruina, rozsuwająca dławiące macki w rolnictwie zachodnio-niemieckim, są instrumentem, dzięki któremu USA pragną zamienić masy pracujące Niemiec Zachodnich w niemych niewolników, w uległe mięso armatnie. „Nasza praca traci wszelki sens” powiadają rolnicy z adenauerowskich Niemiec. „Tym lepiej” woła Adenauer i jego protektorzy — macie perspektywę: ginać za nasze interesy”. Ale w tym rzecz, że masy pracujące Niemiec Zachodnich, że podstawowe masy chłopskie nie chcą przelewać krwi za interesy Wall Street i rodzimych awanturników z Bonn. Chcą żyć i pracować jak żyją i pracują Niemcy w Niemieckiej Republice Demokratycznej — dla jednolitych, demokratycznych, pokój miłujących Niemiec.



W NRD

nansistów Hitlera, to płaci za to lud Niemiec Zachodnich rosnącymi podatkami, lawinową zwykłą ceną, bezrobociem, nędzą. Jeżeli znowu na ulicach miast niemieckich — zachodnich panoszą się hitlerowska zgraja i adenauerowsko-schumacherow-

JULIAN STAWIŃSKI

CESARZ ODSZEDŁ — GENERALOWIE ZOSTALI

ARMIA jest zbrojnym ramieniem klasy rządzącej. Ostatnia stworzona przez tę klasę ustrój, realizuje jej interesy. Wartość bojowa armii i zdolność urzeczywistniania powierzonych zadań zależy, rzecz jasna, od fachowego wyszkolenia kadr. Lecz równocześnie pozostaje w prostym stosunku do siły powłok klasowych, łączących wojsko z tą grupą, lub klasą społeczną, w której roku spoczywa władza. Stąd dzisiaj armia najlepsza w świecie jest Armia Radziecka, której skład identyczny jest w swym przekroju społecznym ze sprawującą władzę socjalistycznym narodem.

W epoce feudalnej armia składała się z emancypacji rządzącej warstwy szlacheckiej, albo też była oparta o czynnik całkowicie fachowy w postaci wojsk zacięganych. Najwyższym zwierzchnikiem był dynasta, przedmiot kultu stanowił wódz, zawsze dobiegający spośród książąt krwi, czy rodzin magnackich. Sytuacja gmatwała się, gdy panowanie przechodziło w ręce burżuazji.

Do władzy szła burżuazja w sojuszu z ludem, sprzegła swe interesy z jego sprawą — inaczej nie mogłaby odnieść zwycięstwa. Armie, jakie w tym czasie tworzyła, były rewolucyjne i niezwykłe. „Państwo jest silne świadomością mas” — mówi Lenin. Wojska Waszyngtona, czy republikańskie dywizje Francji z epoki I-ej Republiki silne były poczuciem, że bronią dobra klas, z których się rekrutowały. Stopniowo jednak zmienia się ten stan rzeczy. Burżuazja czuje się zagrożona przez proletariatu, nie może jednak odmienić faktu, że istnienie proletariatu jest warunkiem własnego jej istnienia. Szuka więc wyjscia w dławieniu świadomości mas, choć tym samym osłabia własne państwo; szuka sojuszu z tymi, komu niedawno jeszcze lamala kości sięgając po ster rządów, na zgietych karkach kleru i feudalistów próbuje oprzeć wątpliwą trwałość swojej potęgi. Kler i dwór czynią i utrzymują ciemnotę na wsi, synowie oburżnieni wypełniają kadry oficerskie w wojsku. Burżuazja zastępuje im teraz królewskich pomazanych — nawet tam, gdzie zostali figuranci w koronach — z jej rąk otrzymują pasy rycerskie. Burżuazja wyznacza im zadanie i treść życia: mają wyprodukować maszynę, ewentualnie fachu, a tępa i ślepo posłuszna, maszynę, w której wszelki odruch świadomości, wszelki prześwit samodzielnej myśli zabija żelazna dyscyplina i mechaniczny dryl.

Klasycznym wzorem takiej armii jest armia bismarckowska. Prus, a potem wilhelmiński Niemiec, państwa „bojaźni bożej” wprzegnęli w twardą służbę magnatów stalowych i junkrów. Trzon generacji niemieckiej stanowią junkrzy. Zachowali całą swą butę, absolutną pogardę dla „zle urodzonych” oraz swolista wiarę w niemieckiego Boga, który w ich pojęciu jest czymś w rodzaju najwyższego rangą oficera najświetniejszej armii świata. Lecz generaliska hierarchia zdaje sobie doskonale sprawę, że warstwa, do której należy z pozycji wszechwładzy, zeszła do roli wasala finansowego kapitału. Wie również, że upadek jej suzerena wyznaczyłby i dla niej ostatnią godzinę. Kłeska Niemiec cesarskich i powstanie weimarskiej republiki było dla generalistów tylko formalnym zarejestrowaniem nowego stanu rzeczy. Ich rola czynna w tym czasie polegała na

pilnowaniu, by republika nie nabrała cech demokratycznych. Kiedy zaś burżuazja w swej walce z demokratyzacją uciekała się do ostatecznych, faszystowskich środków — generalowie murem stanęli przy niej i bez chwili wahania uznali autorytet Hitlera, jako personifikacji faszyzmu. Podobnie bez chwili wahania zdradzili swój naród, gdy burżuazja w celu utrzymania władzy sprzedała Niemcy monopolom Stanów Zjednoczonych.

Nie mogło być inaczej. Instynkt klasowy już od dawna zastąpił generalom wszelkie inne pojęcia — honoru, patriotyzmu i godności własnej. Nie mogło być inaczej, skoro tych pojęć wyrzeka się ich własna klasa, skoro wyparła się ich klasa rządząca, z którą zawiązała swój los. Wierność generalów niemieckich wobec oligarchii wielkich monopolów jest więc wiernością pewną, do ostatka, wiernością sługi i udziałowca zbrodni — współnika na śmierć i życie.

Wydana niedawno książka Stanisława Szenica^{*)} omawia w zwięzłej formie wewnętrzny mechanizm tej wierności i zdrady. Osią krystalizacyjną rozważań autora jest analiza tzw. spisków generalich przeciw Hitlerowi. Wiemy, że na obszarze Niemiec Zachodnich prowadzona jest nader forsowna kampania, mająca na celu wybielenie Wehrmachtu. Ze analogiczne wysiłki podejmowane są także w USA i w państwach zmarszkalizowanych. Mogło być się wydawać, że zbyt blisko jest jeszcze rozpraw norymberskich, zbyt świeże wspomnienia niezliczonych zbrodni, aby tego rodzaju wysiłki mogły liczyć na jakikolwiek rezultat. Ale Amerykanom za nadto potrzebne jest niemieckie mięso armatnie, aby mogli odkładać próbę rehabilitacji jedynych dostawców — junkiersko-hitlerowskich generalów. Cesarz odszedł i odszedł Hitler, pozostali jednak najwierniejsi spośród sług burżuazji, która czyni wszystko, by odbudować w opinii społeczeństwa ich doszczętnie zrujnowany kredyt.

Tok argumentacji jest również nawiązywał prosty: Hitlerowi, który zgubił Niemcy, przeciwstawiali się patriotycy i z gruntu przywoływali generalowie, przypłacając to nawet życiem. Nie negując faktu niezliczonych zresztą i źle omówianych zamachów na Hitlera, Szenica wykazuje całą bezzasadność wiązania ich z jakimiś niestwierdzonymi poglądami opozycyjnym wśród burżuazji, a tym samym i tym bardziej wśród junkrów, którzy od upadku monarchii przestali stanowić samodzielny czynnik polityczny. Byli między junkrami niezliczeni pogrobowcy feudalizmu, błędni „rycerze” marzący o przywróceniu mu dawnego blasku i wpływów. Tworzyli jednak nikłą tylko garstkę bez znaczenia i głosu w zwartej kołchozie posłusznej każdemu skienitwu imperialistycznej burżuazji. Ta ostatnia zaś nie miała powodów do niezadowolenia z Hitlera, trzymającego się ściśle ustalonych przez nią wytycznych.

Jaka zatem była istotna treść zamachów na fuhrera, powtarzających się co pewien czas przez cały okres wojny? Przedstawiony przez Szenica materiał pozwala nam zdać sobie z tego dokładną sprawę.

Pamiętajmy więc przede wszystkim, że przez cały czas wojny toczyły się nieprzerwanie właściwie rokowania między Niemcami, a Anglią i Ameryką o pokój odrębny i utworzenie wspólnego frontu przeciw ZSRR. Miejscem spotkań były

kraje neutralne, najczęściej jednak rozmowy toczyły się przy pośrednictwie i współudziale czynników najbardziej zainteresowanych w zwycięstwie faszyzmu w tej czy innej postaci — caudillo Franco i Stolicy Apostolskiej. Rozmowy toczyły się wielotórno: między przedstawicielami sztabów, central finansowych i rządów, jak np. rozmowy Hessa z lordem Simonem, czy Ribbentropa i papieża z Myronem Taylorem i arcybiskupem Spellmanem, reprezentującymi Roosevelta.

Najbardziej uderzające jest to, że w ciągu całego trwania pertraktacji wielkie monople przejawiały zupełną solidarność z Hitlerem. Front imperializmu niemieckiego był jednolity i jednomyślny w żądaniach i ustępstwach, czy raczej nieustępliwości. Anglo-sasi zaś w żadnym momencie nie domagali się likwidacji hitlerizmu. Przeciwnie, pragnęli go za wszelką cenę zachować. Były inne powody, o które rozbijały się pertraktacje: Amerykanie żądali wydania w ich ręce całego ciężkiego przemysłu Niemiec (tak właśnie rozumieć należy „bezwzględny kapitulację”), a poza tym musieli co raz bardziej się liczyć z „wrogą wobec faszyzmu postawą własnego narodu. Tym się tłumaczy, że w fazie końcowej, gdy dobijano już targu, wszystkie były wyjątki koła burżuazji niemieckiej, łącznie z naczelnym organem politycznym — partią nazistowską — postanowiły usunąć Hitlera, przeznaczącą mu, dla celów przyszłej legendy „bohaterską” śmierć na szafkach Berlina. Nie wątpliwie oferty Himmlera i Goeringa były podszyte ambicją osobistą: chęcią spadkobrania. Ale nagminne wyparcie się Hitlera było teraz dla burżuazji niemieckiej nakazem chwili. Stanowił już tylko balast, którego należało się wyrzucić za wszelką cenę. Hitler nawet na zdradę był zbyt skompromitowany. A zdrada dla junkrów i wielkich monopolów była koniecznością, była warunkiem utrzymania rządów.

Ale to nie był zamach. Burżuazja odrzuciła po prostu narzędzie, którym posługiwała się długo i skutecznie, aż wreszcie stało się niewygodne. Odtąd los Hitlera był przesądzony. Odtąd każdy zamach musiałby się udać, tak jak poprzednio żaden się nie udawał. Zresztą Hitler zrozumiał decyzję i poddał się jej — z rozpaczą i strachem, lecz posłusznie.

Spśród wszystkich skrupulatnie przez Szenica zanalizowanych prób likwidacji Hitlera jedna tylko — tzw. pucz z 20 lipca 1944 — miała nieco poważniejszy charakter. W III Rzeszy, państwie dyktatury burżuazji, Hitler został wyniesiony do godności czynnika cementującego cały aparat rządzący tej dyktatury. Zniszczenie tego ogniw mogło poćciagnąć za sobą poważny wstrząs i osłabić spójność aparatu, a tym samym uczynić monopolistów niemieckich bardziej podatnymi do przyjęcia ciężkich warunków kapitulacji, podyktowanych w tajnych rokowaniach przez kapitał finansowy USA. Upadku ustroju nie obawiano się w tym momencie, gdyż wojska radzieckie były jeszcze dość daleko od granic Reichu. Toteż wywiad amerykański nie szczędził wysiłków dla wykonania od dawna opracowanego planu. Na wykonawców obrano grupę rozżalonych wyższych oficerów i urzędników, których ludzono perspektywą władzy. Motyw patriotyczny znalazł się, rzecz jasna, pod ręką, dostarczając zarówno uzasadnienia współpracy z obcym wywia-

dem, jak i argumentu na rzecz utrzymania reżimu. Innego podłoża spisek ów nie miał. Pozostałe zamachy były już czysto palacową improwizacją zawiązanych ambicji, pozbawioną wszelkich korzeni nawet we własnym środowisku spiskowców.

Czy wobec tego studium tych spraw jest celowe? Niewątpliwie tak. Jest to jakby negatywny obraz rzeczywistego — udziału generalów w tworzeniu mitu Hitlera, udziału zacieranego obecnie dla ocalenia legendy „niezwycięzonej armii”, dla zamazania „ostoiści” klasowych rysów jej sztabu. Władza Hitlera nie pochodziła „wprawdzie” z „laski bożej”. Lecz ze sankcjonowały ją miliony — marek i dolarów, że służyła dobrze obronie, a nawet kwitowaniu interesów junkierskich, generalowie uczestniczyli gorliwie w szeregach mitologii krwi, rasy i nadczłowieka. Mit, reakcyjny w treści i atrakcyjny w formie, nadawał się znakomicie na budowę kultu, ślepego i fanatycznego, poza rozumem i logiką, a który oddzielał armię od mas, czyniąc z niej podatny instrument terroru i ucisku. Burżuazja ma w swoim arsenale szereg takich środków. Przedłużają skutecznie jej panowanie, gdyż otacza je nimb czynnika na pozór samodzielnego. Na tej samej zasadzie oparte było u nas działanie pilsudczyzny. Z rekwizytorni dzieł wydobytokościu napoleoński i mały aktor prowincjonalny na powołanie grał rolę „wodzika”. „Szary mundur” zaplądlał nie tylko wyobraźnię poetów. Zbierał oklaski i na teatrze życia. A po przedstawieniu szedł zbierać żniwo — polityczne i gospodarcze — dla dyrektorów tej tragifarsy.

Final hitlerowski „położyl” główną gwiazdę sceny. Lecz zespół generalski pozostał. A skoro obecnie ma być użyty w nowej krwawej improwizacji — przerabia starannie swą charakterystykę dostosowując ją do nowych dekoracji.

Szenica trzyma się ściśle ram, dość wąskich, jakie zakresił sobie tytułem książki i dlatego nie wyprowadza wniosków precyzyjnych miejsce i rolę sztabu niemieckiego w układzie klasowym okresu hitlerizmu. Ale wnioski te płyną wyraźnie z całego, obficie zgromadzonego materiału. Materiał ten, ułożony chronologicznie, tworzy obraz przejrzysty i przekonujący. Wśród wielu innych wartościowych aspektów, praca Szenica ukazuje, poprzez rodzinne powiązania sztabowców niemieckich, kosmopolityzm tej kasty i jej odcięcie od własnego społeczeństwa. Ponadto zaś daje liczną charakterystykę generalów Hitlera, którzy obecnie zajmują szereg poważnych stanowisk w sztabie Ridgwaya.

Jedno z nielicznych zastrzeżeń dotyczy opinii wypowiedzianej w książce parokrotnie, jakoby „dążenie generalów niemieckich po pierwszej wojnie światowej było ponowne uzyskanie faktycznego wpływu na rządy”. Nawet przed I-szą wojną światową generalowie sami wpływu nie wywierali, jedynie jako odłam wszechpotężnych junkrów. Przed stu laty Marks pisał o Cavaignacu, że reprezentował „nie dyktaturę szlabu nad społeczeństwem burżuazyjnym, lecz dyktaturę burżuazji przy pomocy szlabu”.

Dziś trafność takiej oceny roli generalicji w epoce dyktatury burżuazji uwydatnia się w całej pełni.

Julian Stawiński.

*) Stanisław Szenica, „Generalowie i Hitler”, „Czytelnik”, 1951.

Tadeusz Orlewicz.

ZBIGNIEW ZALEWSKI

Rysunki Ireny Blicharskiej

HELENA WIELOWIEYSKA

ZŁOT MŁODYCH

SPÓŁDZIELNIA KOBIECI

ZE wszystkich stron Polski pędzą pociągi na Złot do Stolicy.

Na granicach miasta zielone żagle namiotów witały chłopców i dziewczęta. W powietrzu wibrowały dźwięki muzyki, a dalej w głąb, wzniesieni widokiem młodości mieszkanki Warszawy. Kolorowe światła zapalały okolice, wibrując szepoty i coraz to nowsze melodie. Piosenka budziła echem piosenkę, póki nie złączyła się w jeden potężny hymn.

W nocy spadł deszcz i rozpachniały się drzewa. Olszynkę Grochowską rozbujały metaliczne głosy. Miasteczka Złotowa na Wierzbnie, na Rakowie i we wszystkich stronach Stolicy zabarwiły się kwiecistymi chustkami dziewcząt i chłopców. Megafony zapowiadały kolejno imprezy artystyczne. Grupa dziewcząt na uboczu stworzyła barwny wieńiec na pochyleniu głów przybranych w chustki i kwietne wianki. Wysoka, smutka dziewczyna wdziała rejs.

— Halo, halo — ozwały się naraz wszystkie megafony — przodownicy

wone kwiaty rozpryskują się w amarantowe gwiazdy. Wachlarze palm z niebieskich przechodzą w pasowe. I naraz nad głowami tańczących rozwijają się lśniące napisy: „Pokój” we wszystkich językach świata. Najwyżej rozwija się Portret Stalina i wszyscy zaczynają skandować: — Stalin — Stalin... „Na niebie Warszawy” — przemawia żarliwym głosem, francuski speaker — „płoną światła w różnobarwnych kolorach wszystkich flag na świecie. Na niebie Warszawy lśni wielkie gwiazdy”. Głos jego jest coraz bardziej wzruszony. „Reflektory padają na drogi, żeby oświetlić ludzką radość, twarze młodych przodowników pokoiu. A dawniej zapalały się po to, by dopaść człowieka i uśmiercić! Słomy wam pozdrowienia młodziści świata, my tu znad Wisły!” — Z kolei przemawia drugi speaker w różnobarwnych kolorach, potem niemiecki. W krag zatarły się różnice dzielnic i krajów.

60 tysięcy młodzieży złożyło na Placu Zwycięstwa uroczyste ślubowanie na Konstytucję. A przecież, gdy powtarzali słowa przysięgi, wydawało się, że na Placu zalega ciżba — tak spokojnie, zwracając, nieporuszenie stały szeregi. Tylko w pełnych napięcia chwilach ręce podnoszą się wolno do góry, jak gdyby utwierdzając głęboką prawdę wypowiadanych słów.

— Umacniać władzę robotników i chłopów...

— Walczyć z ciemnotą, zacofaniem i przesądami...

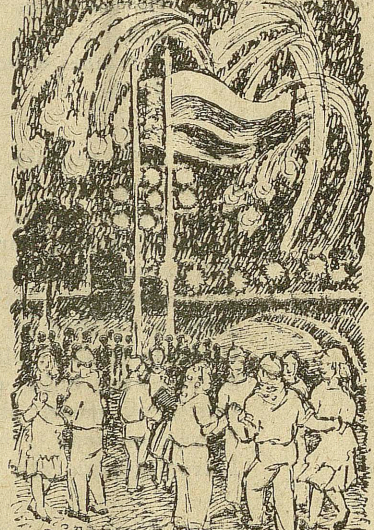
— Nieprzejednani wobec wrogów ludu i obcych namiotów...

Przysięga dobiega końca. Na trybunie, uśmiechnięty, wzruszony Prezydent — nauczyciel, wódz, przyjaciel. W tej chwili wzbilo się w górę 25 tysięcy białych gołębi...

W miasteczkach złotych młodzi przodownicy stali ziemiami. Ziemiąmi też poszli w lipcowym pochodzie — każda starając się wydobyć to, co w niej jest szczególne i najcenniejsze: swe bogactwo i piękno, swe tradycje, teraźniejszość i przyszłość, o którą walczą.

Szły więc Katowice: czarne piropusze górników, wieże kopalni i piece hutnicze.

Szła pod skrzydłami orła piastowskiego młodzież odzianego Wrocławia — długimi rzędami narodowych chorągiewek. Polski i NRD przypominał o pokojowej granicy na Odrze i Nysie. Dalej wielki wagon, dzieło młodzieży Pafawagu i gęste snopy pszenicy, zbiory najliczniejszych w kraju spółdzielni — dwie dymy Dolnego Śląska.

Ziemia krakowska, znana tradycjami walk Kościuski i Dembowskiego, Kasinki i Semperitu wyszła z dziewczkami marciackiego hej-


natu, kapeli zbójnickiej i krakowiaka. Na końcu rusztowania i piec Nowej Huty — wskazują drogę nowego Krakowa.

Koływały się nad głowami młodzieży gdańskie białe sieci rybackie, z rąk młodych marynarzy wyrastały wysokie maszty okrętów, złote wieniec pszenicy niosła młodzież z bogatych Żuław.

Lublin — idąc pod znakiem miasta Bieruta i PKWN — pochłubił się Fabryką Samochodów Ciężarowych, Zieloną Górą — Dychowem i Gorzowem, Opole — Kędzierzynom i Brzegiem.

A na końcu gospodarze — młodzież odznaczona Krzyżem Grunwaldu Warszawy. Tym nie trzeba już było makiety — ponad głowami wszystkich wznosił się marmurowy Plac Konstytucji — dzieło warszawskich murarzy. Ale nieśli za to symbol Warszawy niedalekiej przyszłości — dar radzieckiego narodu — wystrzelający wieżami Pałac Kultury.

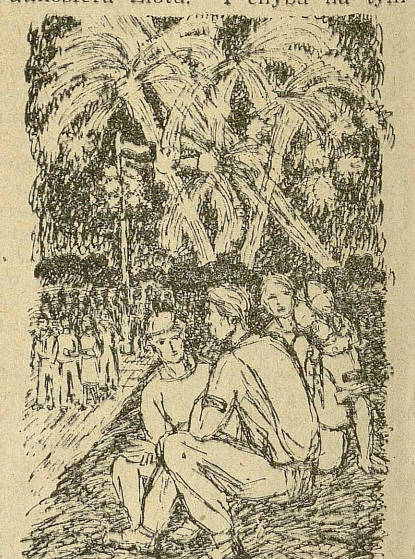
Wspaniała, barwna panorama zjednoczonej ojczyzny — Polski Manifestu Lipcowego i Sześciolatki!

Każdego, kto widział Złot, uderzyło na pewno głębokie przywiązanie i duma młodzieży ze swojej ziemi: uderzyło nie tylko na defiladzie, ale także w strojach i tańcach, w słowach i piosenkach o naszym Śląsku, naszym Lublinie, naszej Łodzi, naszej Warszawie. Było tam nawet jakieś ciche, niewyjawione współzawodnictwo. Pamiętam, jak się zmartwiły młode prądkie z Łodzi, kiedy przyparty do muru przynależał, że jednak lepiej mi się podobały w pochodzie Wrocław i Gdańsk, a chyba także Katowice i Zielona Góra.

Duma regionalna... Ale już nowa zupełnie duma — jakże różna od przekłetej spuścizny dzielnicowych antagonizmów i waśni.

Trzy razy szedłem z młodzieżą złotą. Mijały się wtedy dziesiątki kolumn z różnych stron kraju — a nie zdarzyło się ani razu, aby nie posypały się z obu stron okrzyki i

pozdrowienia. Pamiętam, gdy mijałymi młodzieź śląską (a szedłem wtedy z Łodzi) zabrzmiało ułożone na przedzie pozdrowienie: „Łódzkie prządkie i ślasy — górniczy — to są Polski przodownicy”. Wiele podobnych pozdrowień zrodziła gorąca atmosfera Złotu. I chyba na tym



polega jedno z największych osiągnięć Złotu, że młodzież wychowała zeń wzbogaconą wiedzą o bogactwie i pięknie innych ziem Polski, wzmocniona osobistym przeżyciem głębokiej więzi z młodymi budowniczymi Ojczyzny na wszystkich jej krańcach.

Kiedy słońce skryło się za jasne domy MDM, plac rozkołysał się znów okrzykami radości. Orkiestra gra wale. Co chwila tancerz zwalnia z objętych dziewczyn umajoną kwiatami i woła wzruszonym głosem: — Niech żyje Konstytucja! — Starsi ludzie zebrani dookoła przyglądają się temu dołki niespotykane mu weselu.

Młody student akademii szkicuje z wervą sylwetki przodowników pracy.

— Niech żyje młodość — niech żyje nasza Ludowa Polska! Niech żyją wszyscy dobrzy ludzie pragnący pokoiu! — Zewsząd nie milkną wśród hucznych tonów orkiestry gromkie wiwaty. A pary wirują na białym placu Konstytucji niby kwiaty w czarodziejskim świetle lampionów.

W miasteczkach złotych młodzi wita poetów. Władysław Broniewski pierwszy raz ujrzał tak wielkie zastępy swoich miłośników. Jest wzruszony i żeby pokryć to wzruszenie, unosi zaciśniętą pięść w górę i woła — Mocniej, mocniej, rapróż przyjaciele! — Mały jasnowłosy chłopczyk recytuje wiersz Tuwima „Lokomotywa”. Wycieczony uśmiechami pozwala się brać na ręce i całować w policzki, zielone oczu. Ulicami miasta tanecznym krokiem odmaszerowują ku dworcom najmlodsze goście Stolicy.

Na rogu Filtrów siwawłosa starszuszka powiewa chustką, co chwila wzdychając do roześmianych twarzy.

— Żegnaj Warszawo! — wołają dziewczęta i chłopcy. Z rozwartych okien kamienic wychylają się głowy mieszkających i wyciągają dłonie ku maszerującemu pod oknami przodownikom.

Człowiek najlepsza młodzieży Polski! Czujacie nadal na swych placówkach budowy socjalistycznej przyszłości. My wam z całego serca pomożemy.

Zbigniew Zalewski.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

PRZYGODA W PODRÓŻY

O, przedziwne spotkania! O, stacje na torze
 Zaszyte w głąb nieznaną daleką podróż!
 O was marzęłem tęskny o każdym wieczorze
 I wtedy nawet, kiedy byłem chłopcem dużym.
 W wysokich krzakach noce lśnią zielone oczy.
 To wabią semafor, otwierając wjadzy...

I z szumem lokomotyw w sercu mi się toczy
 Osnuły tajemnicą ekspres świata każdy.
 Jesienią na stacjach opadały liście.

W trawie późny blask słońca pięta lata migał.

Kiedyś i ja dojrzałem. Była, oczywiście,
 W tym życiu walka, lecz nie było przegód.
 Dopiero teraz, kiedy lat czterdzieści przeszło
 Koła pociągu w rytmie wystukały twardo.

Spotkałem się w podróży z mą przygodą pierwszą,
 Tak prostą i tak dziwną, że aż nieodgadłą.

Miał odbyć się mój odczyt w hucie szkła w „Hortensji”.

Jechałem wcześniej. Ranek jasne loki sypał.

Aż gdzieś na małej stacji miało zwir zachrzęścił.

Pociąg przystanął. Chłopiec do wagonu przysiadł.

Otworzył drzwi i wskoczył. Gwizdał. Ręką skinął.

Miał ruchy jakby tutaj wsiadł razem z pogodą.

Gdy się obrócił do mnie z roześmianą miną

Patrzyła z jego oczu moja dawna młodość.

No cóż, dzień dobry chłopce! Miła niespodzianka.

Więc ty mnie najlepszego już bez skaz powtórzysz?

Zeszły, książki z głębi wycierały rańca...

Tak, uczy się codziennie... I nawet w podróży.

Dojeżdża z wioski. Ojciec z małorolnych. Stamtąd

Wielu poszło do miasta kształcić się, do huty...

— Dzię dobry czas! — Radośnie ruszył u drzwi kłama

I wskazał bliższy Piotrków dymem tuł osnuły.

Wyrośnie z niego tegi hutnik, to bezspeczne.

A może wynalazca lub inżynier, technik?

Już dziś odrabia — mówi — najstaranniejsze lekcje

I jedzie do Warszawy na Złot wśród najlepszych.

Rudą brzydkich przedmieść mignął w oknie Piotrków.

— Zmienimy Polskę! — W oczach dwa olbrzymie

Hutnicze piece. Rękę moją ścisnął mocno

I wysiadł, nim zdążyłem spytać się o imię.

Sledziłem moją młodość na peronie w tłumie.

Romantyzm? Ale jaki! Ten, co świat przemieniał

I grały najradośniejsze w dnia zgiełkowym szumie

Niedokonane pieśni mego marzenia.

KAŻDY by chciał lepszego życia — mówi Aniela Paszak po zwiedzeniu zasobnej już i doskonale zagospodarowanej spółdzielni produkcyjnej w Marszowicach. — Każdy by chciał, ale kto wie jak to będzie. — Aniela Paszak pochodzi z Harnieży w powiecie oświęcimskim, z okolic, w których rozdrobienie gospodarstw dochodzi do największych granic.

W drugim dniu wycieczki chłopów podkrakowskich do spółdzielni produkcyjnych województwa wrocławskiego zaczęliśmy się już powoli poznawać.

— Kto wie, jak to będzie — mówi Paszakowa. Jest dobrze ubrana, jak wszystkie uczestniczki wycieczki, ale po jej zmęczonej, poarnej brudami twarzy, po spracowanych dłoniach, poznać trudne życie. Kobiety w Harnieży i w innych okolicznych wioskach pracują ciężko, nieraz o wiele za ciężko na ich siły. Ziemi nie wystarcza dla utrzymania rodziny. Mężczyźni pracują przeważnie poza domem w górnictwie, a na roli pozostają kobiety i dzieci. Przemęczona jest Aniela Paszak z Harnieży i Anna Wirtel z Polanki i wiele jeszcze innych kobiet w przeludnionych podkrakowskich wioskach.

Spółdzielnia z prawie samych kobiet? Kto to widział? — Nie widział, to zobacz — odpowiada ktoś. Zresztą, jest już taka. W Rogowie. Niedawno założona, jeszcze nie taka wspaniała i bogata, jeszcze w niej nie wszystko jak należy. Ale jest, rozwija się. Kobiety pracują i rządzą się, mężczyźni, po powrocie z pracy zarobkowej pomagają, radzą. Przekonana do nowej idei wróci z wycieczki Aniela Paszak, której spółdzielnia ulży bardziej niż innym kobietom. Bo Harnieże to w ośka zrównana z ziemią przez hitlerowców. W Harnieży dotąd ludzie mieszkają w kurnikach. Tak, właśnie w kurnikach, które niemieccy faszysti postawili organizując hodowlę drobitu w osiedlu, z którego wypędzili gospodarzy.

— Na jakich warunkach otrzymamy od państwa pożyczki, żeby postawić nowe, ludzkie domy — dopytują się Harnieżanki, kobiety i ich mężowie górniczy. — Nie chcemy już dłużej mieszkać w kurnikach — mówią, po zwiedzeniu pięknych piętrowych wili gospodarzy Marszowic i miłych, przystępnych mieszkań, jakie mają spółdzielcy w Karzycach.

Anna Wirtel z Polanki w powiecie oświęcimskim gospodarzy na jednym hektarze. Ma jedną córkę zamężną, zięć jest dziennikarzem w Warszawie. Troje młodszych dzieci chodzi do szkoły podstawowej. Jak sprawić, żeby na utrzymanie rodziny i na ubranie wystarczyła pensja męża? Jak podnieść plony z tego jednego hektara ziemi, kiedy wynajęcie konia tyle kosztuje? Annie Wirtel także ulży założenie spółdzielni.

Z zainteresowaniem oglądają kobiety podkrakowskie żłobki i przedszkola w zwiedzanych przez nie spółdzielniach. W Wilczkowie żłobek jest pusty — dziś święto i matki zabrały do domu swoje malenstwa. Wchodzimy do czysto wysprzątanej, piętrowej wili. Tu, w czasie, kiedy matki pracują w polu i na podwórzu, spędza czas najmłodsze pokolenie spółdzielców. Najmłodsze — w czystych, białych łóżeczkach, trochę starsze — obok w sali do za-



Foto CAF

baw. Posiłki otrzymują sześć razy dziennie. Podczas, kiedy słuchamy informacji przewodniczącego spółdzielni Sendka, poprzez tłum zwiedzających wycieczkowiczów przepycha się do drzwi bardzo zabawna para. Puciołowane policzki, zadarte nosy i pewność siebie ludzi znajdujących się w swoim własnym domu. Para ta z wielką powagą toczy się na krótkich i trochę niepewnych nóżkach do kącika, gdzie na dywanie rozłożono zabawki. On siada natychmiast do drewnianego autka, a ona kuca przy wystrójonej lalece stanowiącej najwyraźniej wspólną własność dzieci Wilczkowi i nie zważając na obecność kilkudziesięciu obcych osób zabiera się do przebierania jej w inny fartuszek. Kiedy jeszcze po zwiedzeniu jadaliśmy z niskimi stałami i krzesłkami obliczonymi na wzrost paroletnich dzieci wychodzimy ze żłobka — młoda para zajęta swoimi sprawami nie rusza się z miejsca. Dopiero stanowiący ton przewodniczącego spółdzielni Sendka, który dzwoni kluczem do wejścia, zwraca ich rzeczywistości. Niechętnie, ociągając się, wychodzą za nami ze żłobka. Obserwuję ich jeszcze przez chwilę, jak z wysiłkiem przebijają schody: ciągle jedną nogą przebijając każdy stopień jak niebezpieczny szczyt górski, od czasu do czasu podpierając się niezbity czystą, ale za to tłustą rączką.

To zadomowienie się i całe zachowanie dwojga berbeciów jest najlepszym świadectwem wystawionym opiekunkom żłobka. Tak jak tych dwoje, może dziecko czuć się tylko we własnym domu. Ale też godność pracownicy żłobka otrzymują wilczkowskie kobiety z wyboru: kandydatki zatwierdza ogólnie zebranie; muszą dawać prawdziwą gwarancję dobrej opieki nad dziećmi. Pracownic jest tu pięć — dzieci trzydziścioro. Żłobek funkcjonował dotychczas tylko na wiosnę i w lecie aż do późnej jesieni. W tym roku ma być otwarty również i w zimie; kobiety przekonały się o korzyściach płynących z funkcjonowania żłobka, będzie więc czynny przez cały okrągły rok.

W spółdzielniach, które zwiedziliśmy, kobiety pracują przeważnie tylko podczas pilnych, pracochłonnych robót w polu; podczas pelenia buraków, żniw i wykopków. Niektóre zajęte są jako dojarki, drobniarki itp. Główny ciężar pracy w spółdzielni spoczywa na barkach mężczyzn. Pracy przy domu jest mało. — Nasi członkowie biją od dwóch do trzech świń rocznie na własny użytek. Nie żałuje sobie masła. Nasze kobiety zimą prawie wszystkie chodzą w futrach. Wszystkie mamy rowery — mówili przewodniczący spółdzielni w Wilczkowie, Sendek.

Spółdzielnia w Wilczkowie została założona w roku 1949. Parę lat wystarczyło, aby powstała bogata spółdzielnia, aby jej członkowie cieszyli się prawdziwą zamożnością. Ale i młodzieży, drugi rok istniejącej Karzycy również chwalą sobie zespolową gospodarke.

Karzycy, to ostatnia ze spółdzielni, które zwiedziliśmy w województwie wrocławskim. Ostatnia i najmniejsza. Ma niewiele ponad dwieście hektarów, dwudziestu jeden członków. Karzycyanka dopiero zakładając żłobek na dwanaścioro dzieci i przedszkole na dwadzieścia dzieci. Ale tuż obok podwórza podziwiamy wspaniały pałac po iakimś junkrze. W pałacu znajduje się siedmioklasowa szkoła. Na czternastym boisku gromada kilkunastoletnich wyrostków gra z zapalem w siatkówkę. Wsiadł tuż z nami na ich najmniejszego wrażenia.

Przed autobusem zgromadziła się chęć cała wieś, aby powitać podkrakowskich chłopów, dorosłych i dzieci — brakowało tylko młodzieży, chłopów. Tajemnica wyjaśniła się szybko: nie mogli przerwać pasjonującego meczu, który przyciągnął za chwilę także sporo widzów, spośród uczestników wycieczki.

Serdeczność gospodarza wzruszyła przybyłych. Zaraz też zaczęli dopytywać się o znajomości. W tej odległej od Krakowa wiosce, w której przeważają przesiedleńcy z Bugu, z Wołynia i Tarnopolszczyzny, oświecimianka Anna Wirtel znalazła swoją przyjaciółkę, sąsiadkę. Popłakały się więc, jak należy po tak długiej rozłące. I już razem zwiedzali zabudowania gospodarza.

Karzycy to spółdzielnia mała i na dorobku. Ale na dorobku, który postępuje w szybkim tempie. (Dniówka obrachunkowa wyniosła tu 23/2

zł). Mówią o tym dobrze utrzymanie konie o lśniącej, wyczesanej sierści, niebojaźliwe, rozpieszczone żrebacki, pięknie zaokrąglone boki krów, czyste świni.

W Karzycach należą do spółdzielni produkcyjnej prawie wszyscy gospodarze. Paru nienależących jeszcze, wstąpi w najbliższym czasie. Już się zgłosili. Spółdzielcy zwlekają jednak z przyjęciem ich do wspólnoty. „To starszuszkiwie” — mówią. — Już nie długo będą mogli pracować. Jesteśmy młoda spółdzielnia, nie możemy obciążać się takim balastem. — Jakim znowu balastem? Ludzie to balast? To ciężar? — No nie, ale każdy z nich wniesie po 10 ha ziemi. Jest nas za mało, żeby obrobić tak wielki obszar, jak i wtedy będą obejmować Karzycy. Niech poczekać, aż do nas przyjdzie paru silnych, młodych ludzi, aż się wzmacni.

To jest oczywiście stanowisko niesłuszne i już przezwyciężone. W najbliższym czasie starszuszkiwie znajdą się w spółdzielni. Znajdzie się dla nich na pewno odpowiednia dla ich sił praca, na o później...

Przewodniczącą jednej ze „starych”, bo powstałych w 49-tym roku spółdzielni, Jan Kaługa z Marszowic, powiedział nam, podczas obiadu, wydanego przez spółdzielców dla krakowskiej wycieczki: — Starcy nie mają się czego obawiać. Ich los



Foto J. K. Maciejewski

jest u nas pewny. Nasi starszuszkiwie nie zgina nawet wtedy, kiedy nie będą już mogli wcale pracować. Stać nas na to, żeby im dać 10 do 15 kwintal zboża i tych parę tysięcy złotych gotówką. Należy im się. Karzycy, młode i takie wesołe, zasobne i wciąż bogacie się, na pewno stać na przyjęcie do wspólnoty paru starych ludzi.

Dobre gospodarujące spółdzielnia to magnes przyciągający ku sobie wszystkich chłopów w gromadzie. W Wilczkowie zwrócił moją uwagę piękny dom obrosnięty winem, położony tuż obok zabudowań spółdzielni.

— Kto tu mieszka? — spytałam któregoś z gospodarzy.

— A jedna wdowa. Ma czworo dzieci. Niedawno wstąpiła do spółdzielni.

— Niedawno? — wydało mi się to dziwne, w spółdzielni istniejącej od 1949 roku. — Dlaczego dopiero niedawno?

— Miałą dorosłą córkę. Mówiła, że nie wyda jej zamaż. I kobiecina męczyła się, jeździła do fabryki, zwiłaja się jak mogła. Ale wydała wreszcie tę córkę i zaraz po weselu wstąpiła do nas.

— A zięć co na to? Nie ma teraz piękna u nich w domu?

— Ej, nie — odpowiedział ze śmiechem mój rozmówca. — W jakieś dwa miesiące potem, zięć też wstąpił do spółdzielni.

Detyzja była trudna, zwłaszcza dla bardziej przywiązanych do tradycji kobiet. Ale właśnie kobiety, wstępując do spółdzielni, zyskują najwięcej. Spółdzielnia ujmuje im pracy, daje wszelkie prawa i możliwości kształcenia się i awansu.

Już wracając do Krakowa, słyszałam przemawiającego przez wycieczkowy radiowęzeł zainstalowany w pociągu przewodniczącego Związku Samopomocy Chłopskiej w Brzesku, Nowaka, założyciela spółdzielni produkcyjnej w swojej wsi. Mówił, jak to kobiety właśnie pomogły mu w zorganizowaniu spółdzielni, jak odważnie agitowały swoich mężów, jak teraz wspaniale pracują. — To wypadek nietypowy — mówił Nowak. — Ale przecież prawdziwy. Trzeba, żeby w Polsce znalazło się więcej takich kobiet. W spółdzielni produkcyjnej czeka je piękniejsza, lepsze życie.

Helena Wielowiejska

ALINA WITKOWSKA

RADZIECKA POWIEŚĆ O STUDENTACH

W CIĄGU 8-miu lat pokojowej pracy naszego kraju kilka pokoleń studentów opuściło wyższe uczelnie i uczestniczyło w procesie produkcji. Poważna część ich młodego życia związana była z uniwersytetami, tu przebiegały często pierwsze walki ideowe, tu poprzez subtelną tankę praw naukowych biegł front walki klasowej. Prawa tej walki działały na uczelni z taką samą surową prawidłowością, jak w fabryce, czy na wsi. Inne były tylko metody walki, odrębna jest szata zewnętrzna. Walka o treść i metody nauczania, o styl życia i moralność młodzieży, o jakość jej produkcji naukowej była i jest w tej samej mierze ważnym odcinkiem budowy socjalizmu, co wykonanie planów produkcyjnych w fabryce. Dziś, gdy nauka z każdym dniem staje się coraz bardziej „sprawą honoru, sprawą męstwa i bohaterstwa” ogółu studentów, czas aby ta ze wszech miar ważna i aktualna problematyka znalazła odbicie w literaturze. Szkolnictwo i niemarksiowskie dzielenie problematyki literackiej na produkcyjną — ważną i nieprodukcyjną — blagą jako niewymyślny schemat obalają już samo życie. Dla literatury realizmu socjalistycznego istotne są konflikty i treść ideowa jako je nasyca. Realizacja socjalizmu na wyższych uczelniach, nie tylko w ogólnych planach naukowych, ale w umyśle i sercu każdego studenta, to jeden z najbardziej twórczych i ważkich problemów jakie nadają sens i krasę życiu naszej ojczyzny. Przeszło 130 tysięcy studentów polskich czeka na mądrą powieść o ich życiu, powieść która pomogłaby im w dalszej pracy i walce.

Podczas tej długotrwałej kanikuły trapięcej naszą literaturę o młodzieży, czytelnik polski tym chętniej sięga do literatury radzieckiej, która obfituje w utwory o problematyce młodzieźnej. Drugi i trzeci numer „Literatury Radzieckiej” za rok 1952 przyniósł nam nadzwyczaj ciekawą i cenną książkę *Jurija Trifonowa pt. „Studenti”*. Problematyka powieści przez analogię bliska także życiu uniwersyteckiemu naszej młodzieży wywołała zrozumiałe zainteresowanie i ożywione dyskusje wokół książki Trifonowa.

Autor „Studentów” należy do najmłodszej kadry pisarzy radzieckich — wychowanków Instytutu Literackiego im. Gorkiego. „Studenti” — powieść odznaczona Nagrodą Stalinowską w 1951 roku — stanowi pierwsze większe osiągnięcie literackie młodego pisarza. Autor, czerpiąc obficie z własnych, tak jeszcze świeżych przeżyć i wspomnień o latach studentenckich, dał w powieści swą barwę i wnikliwy obraz życia studentów III roku Instytutu Pedagogicznego w Moskwie.

Po wojnie w Związku Radzieckim napisano kilka utworów z życia studentów. Czytelnikowi polskiemu szczególnie dobrze znana jest powieść Dobrowolskiego pt. „Trzej w

szarych płaszczach”. Książki te ciekawe, jak w wypadku Dobrowolskiego napisane z niewątpliwym talentem, chorowały niestety często na anemię konfliktów. Sfera obyczajowego życia studentów — dom akademicki, wieczorki, imprezy artystyczne i sportowe, trochę studentckiego żargonu — te elementy składały się na zasadniczą atmosferę utworów. Autorzy uchwycili zjawiska niewątpliwie charakterystyczne dla specyfiki życia studentenckiego, ale cmineli rzecz najistotniejszą — specyfikę ideowo-moralnych problemów, które tę obyczajowość kształtują i warunkują. Błędu tego jak mi się wydaje uniknął Trifonow.

Problematyka ideowa i etyczno-moralna związana ze sprawą profesora Kozielskiego i studenta Sergiusza Paławina stanowi moceń kość książki wokół którego zwarcie skoncentrowana jest fabuła utworu. Koncepcja postaci Kozielskiego i zespół problemów z nią związanych uważana jest za szczególne ideowo-artystyczne osiągnięcia autora. W naszych warunkach ideowy konflikt między studentami a profesorem ma przeważnie ostre, antagonistyczne, politycznie określone oblicze. W warunkach Związku Radzieckiego rzecz taka jest nie do pomyślenia, byłoby to anachronizm sprzed co najmniej dwóch dziesięcioleci lat. I nie tak pomyślana jest postać Kozielskiego. Pożornie profesorowi trudno postawić konkretne zarzuty ideowe, które przejawiały by się w jego pracy naukowej i pedagogicznej. Jest oschły, oderwany od spraw studentów, na egzaminie „czepia się” erudycyjnych szczegółów, nie lubi literatury radzieckiej, gdyż jeszcze „nie obrosła bibliografia i czuła ją farba drukarska”, ceni przede wszystkim erudycję i zachwycza się własnym, drobiazgowym opanowaniem wiedzy o literaturze. Pożornie jeszcze jeden dziwak, nieubliwany profesor z galerii postaci tak obfitych w literaturach różnych narodów. Zasluga autora jest, iż pokazał drugą o wiele bogatszą i bardziej skomplikowaną stronę portretu nieubliwanego profesora. Sprawa Kozielskiego rozmiarami swymi daleko wykracza poza ramy indywidualnego przypadku, pokazuje w ogóle związek nauki z ideologią i polityką oraz z osobistą moralno-ideową postawą badacza. W nauce radzieckiej nie ma dziedzin badawczych, które by spełniały rolę azylu politycznego, zwalniającego od ektywności postawy ideologa. Kozielski uchylał się od niej, zasłaniał się parawanem zainteresowań fachowych z kręgu przyczynników do dzieł ewangelii Ostrowskiego czy sądów o Moleniu Danila Zatočnika. Jego wiedza jak każdy zbiór wiadomości nie kierowany, nie ożywiany przez ideologię zmieniała się w muzeum jawnej erudycji. Odpolitycznienie treści nauki doprowadziło profesora do apokryficznej preparowania utworów literackich, a w dziedzinie sądów naukowych do kosmopolityzmu i „formalizmu czystej wody” jak

to określił w dyskusji Wadim. Na tym tle zrozumiała jest niechęć Kozielskiego do literatury radzieckiej, której nie rozumiał i nie lubił jak nie rozumiał w gruncie rzeczy kraju, w którym żył wypadło.

Nowy krąg problemów moralno-etycznych daje powieści sprawa Sergiusza Paławina. Znowu — podobnie jak w wypadku Kozielskiego — z dużym mistrzostwem zakreślił autor ramy charakterystyki bohatera. Sergiusz pokazany jest w domu, na studiach, w pracy społecznej, w licznych i skomplikowanych sytuacjach życiowych. Wypadki i zdarzenia przy stosunkowo małym udziale komentarza autorskiego naświetlają i demaskują w pełni ideały życiowe Paławina. Cenny jest zwłaszcza fakt, że Trifonow pokazał społeczne przyczyny ideowych i moralnych schorzeń Sergiusza, że związał ściśle dzieje kształtowania się charakteru swego bohatera z problemem rodziny, która w pewnym okresie życia jest decydującym rzeźbiarzem charakteru młodego człowieka. Mieszczańska mentalność Iriny Wiktorowny, jej historyczna miłość do syna, deprawowały już u podstaw charakter Sergiusza. Myśląc o tym Wadim przypomniał sobie świetne powiedzenie Czechowa „W rodzinie, w której rządzi kobieta mieszczańska, wychowują się z łatwością panamiści, krętlacze, beznadziejnie bydlaki”. Sergiusz nie mógł się stać skończonym panamiścią lub beznadziejnym bydlakiem, gdyż ocalał go zdrowy ludźle, wielkie mocne życie, ale stał się małym egoistą o karierowiczowskich ideałach życiowych. Na tym podłożu wyrósł paławinowski filozofia życia, która pozwoliła mu uwieść dziewczynę i porzucić ją w chwili, gdy przestała mu być potrzebna, przywłaszczyć sobie cudze, wieloletnią pracę zdobyte osiągnięcia naukowe, wniosła do jego moralnego obcy etyce komunistycznej czynizm, samozachwyt, połączony z wewnętrznym lekceważącym i pogardliwym stosunkiem do ludzi. Sprawa Paławina, zebrane biura kosmopolistycznego jemu poświęcone, należą do najbardziej wychowawczych momentów książki. Uczą surowo oceniać siebie i innych, gdyż dopóki żywe są wpływy starej moralności i mieszczańskiego poglądu na świat wszędzie — w kolektywie studentenckim, w kole ZMP żyje Sergiusz Paławin.

Konstanty Fiedin powiedział o „Studentach”: „Trifonow napisał powieść dobrze, a mógłby napisać doskonale”. Sądem tym wielki pisarz radziecki podkreślił duże możliwości autora, jednocześnie zwracając uwagę na braki utworu, które nie pozwoliły „Studentom” być powieścią doskonałą. A braki są poważne. Wątpliwości nasuwa już rozwiązanie centralnych konfliktów utworu. Zagadnienie ewolucji i rehabilitacji ideowej Kozielskiego i Paławina zostało zepchnięte na końcowe karty powieści, spływające w obecnej postaci brzmi wręcz fałszy-

wie. Dobór argumentów, którymi autor tłumaczy wewnętrzne przemiany Sergiusza — osamotnienie, brak pieniędzy, związany z utratą stypendium — nie są w stanie nikogo przekonać o tym, że egoista i karierowicz przeżył ewolucję duchową. Nie jest to zresztą najistotniejszy zarzut, jaki można postawić powieści Trifonowa. O wiele poważniejszy i obfity jest w konsekwencje artystyczne jest problem doboru i typowości bohaterów.

Poważna część powieści poświęcona jest między innymi dziejom miłości Wadima Bielowa do Leny Mirowskiej. Stosunek zresztą w całym utworze miłości pozwolono mówić pełnym głosem. Niestety ładna i ograniczona bohaterka romansu — której ulubionym malarzem jest polski Siemiradzki — wywarła jak najfatalniejszy wpływ na pierwsze partie powieści. Z jej powodu dzieje miłości kształtują się w sposób romansowo-staremodny, ona narzuca ton i poziom rozmów, niekiedy żenująco płytkich i naiwnych. Na niekorzystnym tle Leny i Wadima z pierwszych partii powieści rozrosła się nadmiernie postać Sergiusza Paławina spychając do roli biernych obserwatorów kolektywu studentenckiego większość bohaterów powieści. Niewątpliwą pomyłką artysty, jaką stanowi fałszywy wybór Leny na czołową kobietę bohaterki powieści pogłębia jeszcze wyjątkowo nieciekawy zestaw postaci dziewczęcych w utworze. O ile sylwety chłopców są doskonałe, trafnie i mocno portretowane, dziewczęta rozpylają się w bezbarwnej masie przeciętności, obdarzone przez autora najczęściej jedną cechą szczególną — niepoahamowaną gadatliwość. A przecież wszystko to są kosmopolitki, niektóre należą do partii Koniecznej należało powiedzieć o nich więcej i prawdziwie, pokazać typową studentkę radziecką. Autor w miarę nasycał utwór realiami obyczajowymi, odpowiednio dawował literackie dyskusje studentów tak, że utwór nie wymaga fachowego sztyru bruźdzącego w wielu powieściach tzw. środowiskowych. Można jednak mieć do autora pretensję, że w ogóle zastosował łatwy, chwyt obyczajowy jakim jest żargon studentencki. Pisarza obowiązywałyby raczej walka z tym szkodliwym zjawiskiem językowym, rugowaniem nawet z mowy potocznej, a nie kanonizowanie go w dziele literackim.

Przy lekturze „Studentów” nie o brakach się jednak pamięta. Śmiało konflikty, odważne sięganie po nową, interesującą problematykę — jak kontakt studentów z fabryką — mistrzowskie portretowanie postaci, których każdy rys jest przemyślany, żywy i potrzebny, dojrzałość i zdyscyplinowanie dialogu a nade wszystko młody, zdrowy humor, który rozświetla karty powieści decydują o tym, że „Studenti” Trifonowa są mądrą i radosną książką o życiu radzieckiej młodzieży.

Alina Witkowska



Foto E. Goławski

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

W PRZYSZŁOŚĆ WKROCZYŁ...

Otworki zamku*) przy jeziorze Ponsowym, gdy je zmierzach przyciemni,
Wytworny Bielińskiego dworze,
Różo rokoka, z fanaberii
Wpięta w sukmanę łak podmokłych
Nad traktem, gdzie się noc w noc wlokły
Z prochem furgony Igelstroma
I kozak pańskiej ekstrapocyty,
Płosząc sen trwożny wiejskich gromad,
Nad mroźną Nową galopował,
Dworze, coś w takt mazurów skocznych
Scherzo rozbiórów skomponował,
Pamiętko, z nimbu, z czi wyzuta,
Gdzie jednak pod dotknięciem dłuta
Krzew czarodziejski piękna wyrósł
W kwiatkach kapryśnych sztukaterii,
W uśmiechach dzieci i zefirów
Kamiennych, dworze, w buchalterii
Pamięci naszej zapisany
Podwójnie: chłopów pańszczyźnianych
Krwia i inkaustem czarnej zdrady
Narodu — dwakroć cię krzesiwa
Powstańców pulków podpalali;
I wody też przekleto skziwa,
Co profil twój odrysowały.

Lecz dzisiaj już, wolności dzieci,
Możemy piękno twe oddzielić
Od hańby dawnych właścicieli,
Na których „chwałę” miało świecić
Jak sztuczne ognie; wdzięk twój czysty
(Nie przeszłość) rehabilitować,
Oprzątnąć z gruzów złych tradycji
I gospodarzyć nim od nowa;
To piękno dworskie, niedosiężne,
Obce i jakby nie z tych gwiazd
Jak różę w bujny snop w „okrężne”
Wwiązać w ludność wsi i miast
Zycie...

Więc znów zagrały pily,
Przybyli cieśle i murarze,
Sztab sztukatorów; wnet pokryły
Szalunki wieże, korytarze...
Już normy przekroczyli cieśle,
A konserwator doświadczony
Zwolna — choć serce bije śpiesznie —
Odślania freski i plafony;
Mitologiczną baśń, pejzaże
Odległych mórz. Historyk młody
Murarzem sens tych dzieł ukaże
I tronów zmierzach i klas zachody...

Lecz jeszcze deski na sufitach
I długo jeszcze będą zgryztały
Białych murarzy kielnie drobne,
A już do czystych sal na wieżach
Z miasta i z wiosek młodzież zjeżdża.
Rozbrzmiały dzwonek śmiechem groble.
Dzwonek... i przyszły świetlicowiec
Spieszy na wykład... Lśniący kreton
Chmurek jak z rycin Canaletto;
W woń wapna wdiera się jałowiec.

Właśnie omówią dziś kursici
Dzieje dość dobrze znane ścianom,
Nazwiska śmiechem nieawiaści
Komentowane tu przed laty,
W dniach, gdy daleko nad Sekwaną
Wzbiły się luny, a armaty
Dubienki wszczęły pieśń... przerwana —
Lecz dzisiaj ploną tu, w tej sali
Idee stokróż śmielsze od tych,
Przeciw którym gardłowali
Zdraycy w szkarłatnym, w pasach złotych
I słowo: Konstytucja — wraca
Przez pałac z kraju wyświecone,
Lecz dziś już ono nie oznacza
Woli nieśmiałej i stłumionej,
Lecz prawa, które praworządca —
Lud ustanowił, kiedy straca
Krzywdę i przyszłość swą buduje...

Dworze Otworki, powędruje
Stąd, nim się śnieg twych tynków przejrzy
W ponsowej wodzie, do swych miast
I wsi bojowiec tym silniejszy
W ostatniej, twardej bitwie klas,
Ze poznał szereg dzień dzisiejszy,
Ze przejrzał dziejów mrok i blask...
A że nasycił pięknem oczy,
Piękno z nim razem w przyszłość wkroczy
Zdobytą...

1952

*) Rezydencja rodowa Bielińskich. Mrgr. St. Bieliński, jeden z inicjatorów II Rozbioru Polski

A. KOWÓL-MARCINEK

BIBLIOTEKA GMINNA PO ROKU

M NIEJ więcej rok temu, na łamach „Wsi” ukazał się mój artykuł pt. „Gminna Biblioteka”. Od tej chwili na odcinku pracy bibliotekarskiej, nad upowszechnieniem czytelnictwa i innych zadań bibliotecznych polskiego zaszły niewątpliwie duże zmiany. Najwyraźniej ujawniło się to na I-szym ogólnokrajowym zjeździe bibliotekarzy polskich, jaki odbył się w tegorocznych „Dniach Oświaty, Książki i Prasy” w Warszawie. Na zjeździe tym podsumowane zostały dotychczasowe osiągnięcia bibliotekarstwa polskiego; wypracowane odpowiednie wnioski i co najważniejsze została skonkretyzowana postawa bibliotekarza — żołnierza rewolucji kulturalnej. Ujawniło się to również na różnych naradach bibliotekarzy wojewódzkich i powiatowych oraz w wypowiedziach i artykułach na temat bibliotek i ich zadań, ukazujących się na łamach prasy, szczególnie na łamach czasopism społeczno-literackich. Jakże tedy wygląda działalność i osiągnięcia Gminnej Biblioteki w Włoszakowicach po roku, na tle powyższych wydarzeń? Przed rokiem planowaliśmy podnieść stan czytelnictwa z 11 do 15%. Zaopiekowaliśmy się absolwentami kursów początkowego nauczania, ukąd ich na czytelników biblioteki. Poza wyprawdzeniem pracy organizacyjno-technicznej na bieżąco, wykonaliśmy inne prace, jak np.: pracę z czytelnikami masowym (zalicza się do niej środki propagandy poglądowej i żywego słowa).

15% czytających do końca roku 1951 nie udało nam się osiągnąć. Zdobiliśmy je dopiero w pierwszym miesiącu br. W lutym zaś udało nam się zdobyć jeszcze pół procent i osiągnąć łącznie 15,5% czytających. Stosowane przy tym formy i metody były najrozmaitsze. Głównym motorem, środkiem mobilizacyjnym było współzawodnictwo międzybibliotecznymi, które dotyczyło w pierwszym rzędzie upowszechnienia czytelnictwa, przez zwiększenie liczby czytelników rekrutujących się spośród robotników i chłopów, zwiększenie wypożyczeń książek ogółem, w tym zwłaszcza książek popularno-naukowych oraz organizowanie prac z czytelnikami masowym i zaopiekowanie się byłymi analfabetami.

Wśród naszych czytelników znajduje się 65% robotników i chłopów. Po-

została część to młodzież szkolna i pracownicy umysłowi. Opieka nad absolwentami kursów początkowego nauczania dała 85% ogólnej liczby zwerbowanych na czytelników Biblioteki. Prac z czytelnikami masowym udało nam się przeprowadzić w okresie współzawodnictwa (od 31 października 1951 do 31 marca br.) łącznie 185, licząc w tym takie formy, jak gazetki ścienne, wystawy, dalej odczyty, pogadanki, wieczory dobrego czytania zarówno zespołowo dorywczych jak i stałych zespołów czytelników. Ogółem zorganizowanych zostało 5 zespołów czytelników — stałych. Najlepiej pracował zespół czytelników w Jezierzycach Kozielskich. Wieczory głośnego czytania odbywały się tu regularnie a do udziału w nich wciągnięto większość byłych analfabetów miejscowości. Głośne czytanie dobrze było również prowadzone w punkcie Bukowiec — Górny na kursie dla pracujących.

Oto niektóre cyfrowe dane z działalności Biblioteki Gminnej w Włoszakowicach, które pozwoliły nam się zorientować jak w głównym zarysie wyglądała praca i osiągnięcia Biblioteki w ostatnim czasie (od początku II-go półrocza 1951 do I-go półrocza 1952). Zdaje mi się, że gdyby od tego dodać jeszcze liczbę wypożyczeń takich, czy innych książek, która, rzecz jasna, tak samo stale wzrasta, można by to „sprawozdanie” zakończyć. Jest jednak jeszcze inne, ważne zadanie, jakie obecnie stawia się przed biblioteką w Polsce Ludowej, zadaniem tym jest systematyczna analiza czytelnictwa na swym terenie. — „Kto czyta, co czyta, jak czyta i kiedy?” Nie jest to bynajmniej łatwa sprawa. Nie mniej jednak interesująca i konieczna robota, bez niej nie może być mowy o właściwej, planowej pracy, nad upowszechnieniem książki i czytelnictwa.

Moje początkowe badania w tym kierunku wykazują, że: Większość czytelników choć trochę zaawansowanych, z jednakowym zainteresowaniem czyta książki z przekładów radzieckich i innych i książki naszych klasyków. Robotnicza rolna Sołbierska nawet z większym zadowoleniem czyta „Annę proletariusz” niż „Krzyżaków” Sienkiewicza. W świeżo założonym punkcie bibliotecznym, w gromadzie Dominie — małej wiosce, liczącej ledwo stu mie-

szkańców, nieustającym powodzeniem cieszy się książka Babajewskiego „Kawaler złoty gwiazdy”.

Nieco inaczej rzecz ma się z literaturą piękną współczesnych autorów polskich. Książki te nie zdobyły jeszcze czytelnika na moim terenie. Dlaczego? A po prostu dlatego, że książek tych nie ma w bibliotece gminnej, że nadsyłane są ze znacznym opóźnieniem. Po dziś dzień nie mam w bibliotece takiej książki jak Rudnickiego „Stare i nowe”, nie mam Zalewskiego „Traktory zdobędą wiosnę”, Hamery „Na przykład Plewa”, Ryłskiego „Węgiel” i Wilczka „Nr 16 produkuję”, otrzymaliśmy dopiero w ostatnim czasie. Co prawda książki te znajdują się w bibliotece powiatowej, czy wojewódzkiej w Poznaniu, ale nie zawsze w dostatecznej ilości, by można zaspokoić wszystkie terenowe placówki. A przecież takie książki winny się znajdować we własnych księgozbiorach bibliotek gminnych i to po kilka egzemplarzy. Powinny o tym pamiętać władze, zakupujące centralnie książki dla bibliotek.

Z drugiej zaś strony książki naszych współczesnych autorów, są jednak jeszcze za mało ciekawe, prawdopodobnie na skutek niepełnego ujęcia artystycznego, nie dosyć pięknego języka i dużej przesady w niejednych wypadkach. Dalej na skutek niezupełnie prawdziwie przedstawionego obrazu rzeczywistości i człowieka — jego życia i pracy w nowym ustroju.

Powodzeniem, u naszego czytelnika, cieszą się książki popularno-naukowe. Dla wielu z nich książka staje się nieodzownym podręcznikiem w wykonywaniu pracy zawodowej. Przed wszystkim odnosi się to do takich działów jak ogrodnictwo, pszczelarstwo, hodowla i uprawa roli i roślin, szczególnie tych dopiero co wprowadzonych przez mało- i średniolichnych chłopów, jak rzepak, konopie i inne rośliny przemysłowe. Jest to, moim zdaniem, objaw naturalny, stający się zjawiskiem powszechnym, pod wpływem dążenia każdego postępowego rolnika do zdobycia maksimum wiedzy fachowo-rolniczej, by wiedzieć, co i jak? by jak najwyżej wydobyć z hektara.

Kiedym przed kilkoma dniami brał udział w akcji poszukiwania stonki ziemniaczanej w gromadzie Bukowiec — Górny, meldujący o zna-

A. Kowół-Marcinek

Szkie portretowe

RACZYŃSKI

W Tymieńcu ludzie są tacy sami, jak wszędzie. Nikt z nich nie urodził się w spółdzielni, nikt nie kończył szkół spółdzielczości produkcyjnej. Żyli w różnych warunkach. W Tymieńcu są tacy, jak Spisak, Myśliwiec, Kowalczyk, Gałuszka, którzy wszystkie siły poświęcają dla spółdzielni, tacy jak stolarz Zarebski, który nade wszystko kocha swój warsztat — piłę i hebel i są tacy jak Raczynski.

Raczynski jadł chleb nie z jednego pieca. Pochodził z powiatu kieleckiego, z Huty Podlisy. Ziemi tam miał niewiele. Chwytał się różnych zawodów. (Człowiek — jakby powiedział — w Kielecczynie — oblatany po świecie). W 1939 r. dostał się do niewoli, ale uciekł z pociągu. Niewola i tak go nie ominęła, bo na rok przed zakończeniem wojny wywieziono go na roboty. Był więc i zagranicą. Zawsze jednak ciągnęło go do ziemi.

Po wojnie osiedlił się na Zachodzie. Otrzymał gospodarstwo, budynki. Stał się średnioludnym chłopem.

Gdy w Tymieńcu powstała spółdzielnia, Raczynski rąbał do jej wrogów.

Dopiero, gdy w styczniu 1951 roku ogłoszono wyniki pierwszego roku gospodarki, gdy spółdzielcy zaczęli zwozić do domów zyski, otrzymane przy podziale dochodów, gdy obok hodowli spółdzielczej rozwijała się hodowla na działkach przyzgodowych, Raczynski zrozumiał, że został przez plotkę oszukany. Ale jeszcze nie kapitulował. Dopiero, gdy do spółdzielni posyłały się wnioski chłopów, którzy dotychczas stali na uboczu, gdy 22 stycznia zostali przyjęci na członków spółdzielni Iwan, Ankudowicz i dwóch Wojtalów, Raczynski nie wytrzymał. Zgłosił wniosek o przyjęcie go do spółdzielni.

Decydowało Ogólne Zebranie. Po głosowaniu odetchnął z ulgą. Został przyjęty większością głosów.

W spółdzielni pracował przy koniach. Ale nie był zadowolony. Odezwali się stare wątpliwości. Jak był na indywidualnej gospodarce, widział wyraźnie, że w spółdzielni jest lepiej. Teraz, w spółdzielni, zdawało mu się, że lepiej na indywidualnej parceli. Popadł w rozterkę. Tym bardziej, że wskutek nieurodzaju pszenicy, spółdzielnia poniosła straty.

Na wszelki wypadek nie wniósł wkładu siewnego przy wiosennych siewach, chociaż ziarno miało.

W czasie żniw, pierwszy wystąpił z żądaniem, aby nowi członkowie, którzy ożyminy siali jeszcze na indywidualnych gospodarstwach, sprzątały je indywidualnie. Było to wbrew wyrażnej uchwałie ogólnego zebrania: zbiorów dokonujemy zespołowo, zasiewy traktuje się jako wkład siewny, a włożona robocizna zostanie oszacowana w dniówkach obrachunkowych.

Jedno trzeba przyznać, że powierzoną mu robotę przy koniach wykonywał należycie. Kłócił się z wóznikami o staranne obchodzenie się z końmi, o szanowanie uprzęży, w stajni dbał o porządek.

Tak minął rok 1951. Aktywność Raczynskiego w spółdzielni nie była jednak tak wielka, jak w indywidualnej gospodarce. Wyszła z niego jedna sprawa poważna, co zrobić z Raczynskim. Wyszła jedna sprawa z Raczynskim. Wyszła jedna sprawa z Raczynskim. Wyszła jedna sprawa z Raczynskim.

Tymień współzawodniczył ze spółdzielnią Kanią w powiecie stargardzkim. Dla sprawdzenia wyników spółdzielni wysyłała do siebie specjalne, kilkusetosobowe komisje. O toż do Kani wyjeżdżała taka komisja z Tymienia. Wybrano do niej i Raczynskiego. Niech jedzie i zobaczy.

Pojechał. Zobaczył. Było co w Kani oglądać. Wystarczy powiedzieć, że w roku ubiegłym Kania oddała do mleczarni 264.000 litrów mleka, że rozwijała wszystkie główne działy produkcji. Posiada 408 okien inspektowych. Zobaczył to Raczynski. Z niezadowolonego malkontenta stał się patriotą swojej spółdzielni. Złaził, gdy się później okazało, że Tymień wygrał z Kanią współzawodnictwo.

— Oborę mają ładną — mówił po powrocie. — 170 samych krów dojnych. I konie ładne. Ale nie lepsze od naszych. Nasza spółdzielnia nie jest wcale gorsza.

Raczynski — to jeszcze jedno zwycięstwo spółdzielni. Adam Sar

GAWECKI

MIESZKA z żoną w dawnych czworakach, razem z zamężną córką. Gawecki są przedstawicielami starszego pokolenia w Tymieńcu. Przyjechali już w 1946 roku, kiedy z gminy bieliński naród „ruszył na Zachód”. Zabrali krowę i dzieci i z innymi bielińskimi trafili do powiatu Koszalin.

Gawecki nie mówi, że mu jest dobrze. Nie mówi nawet, że mu jest lepiej. Po co kusić los...

— Na razie nie narzekam na nic — powiada tylko.

— Teraz człowiek nie ma już sił. Las zjadł...

Oznacza to jednak, że żal mu lat przeżytych tak niajako. Żal mu dni drwa, tak podobnych jeden do drugiego. Dlatego całe uczucie, wszystkie siły poświęcił dla dzieci.

Ożywia się gdy o nich mówi. — Córka jest przy nim. Zięć robi przy zdunach. Najstarszy syn w woj-

sku. Kapitan. Służy w Warszawie. Ożenił się w Warszawie. Mają tu z żoną przyjechać na wakacje. Uczy się teraz. Przed wojną nie było o tym mowy. A teraz to i za dużo tej szkoły. Do szkoły i do szkoły. Na co mu tyle nauki? Przyjechać nie ma czasu.

Stary Gawecki sam nie wierzy w to, co mówi. Ot, gdera, bo mu się za synem przykrzy. Bo pomyśleć. Syn leśnego drwa z Huty Podlisy officerem Wojska Polskiego. Kapitanem. W Warszawie.

— Kapitanem jest i jeszcze się u-

czy...

— Jeszcze mi tylko o Pietrzkę chodzi. Konczy dopiero drugą klasę gimnazjum w Koszalinie. Zdolny i dobry chłopak. Ma chęć do nauki. Jak były wakacje — pracował w spółdzielni. Wyrobił 28 dniówek. Bo starszy, Józek, to już dał sobie radę. W spółdzielni był, pracował jak mógł. A teraz wzięli go do Koszalina. Jest przewodniczącym powiatowego Zarządu ZMP. Zapracowany, że nie ma czasu do domu wyjść.

Taki jest Gawecki.

W spółdzielni pracuje w oborze. Oprząta młodzież. Ma obecnie pod opieką 29 jałówek. Ponadto w zakres jego obowiązków wchodzi ożpratanie owiec. Gawecki przejmując od Koziańskiego i Myśliwca cielecia, gdy już osiągnął przepisowy wiek — 3 tygodni. Za oprzątanie każdej jałówki otrzymuje 0,8 dniówki obrachunkowej miesięcznie. Za każdą oddaną do hodowli zacieloną jałówkę, jednorazowo 10 dniówek obrachunkowych.

Wychowanie młodzieży w oborze wykazuje jeszcze duże braki. Wie o tym Gawecki.

— Na lato będzie już cieletnik. Zorganizuje się także wybiegi dla młodzieży. Nie będę wtedy wiazał jałówek. Obora jest przecież obszerna.

Najtroskliwiej doglądane są najmłodsze sztuki.

— O, tak, to po mojej krowie — mówi, wskazując na jałoweczkę. Bystra urodziła byczka, a mnie na działce była jałoweczka. Zamieniłem się ze spółdzielnią. U nas taki zwyczaj... W ten sposób można szybko dorobić się bydła. I dorobimy się niedługo. Dwa lata temu nie było jeszcze nic, a dzisiaj mamy nie licząc krów przeszło czterdzieści jałówek. I co dzień przybywa. A tamta jałoweczka, to po krowie Kowalczyka. Także wymieniona za byczka.

W owczarni owce zbijają się wokół Gaweckiego.

W zagrodzie pod oknem matki z jęgniętami. To już przychówek spółdzielni.

— Zrobiliśmy głupstwo — konkluduje Gawecki, patrząc na jęgnięta. Do tego czasu mogliśmy się już dorobić kilkuset sztuk owiec. Pasę i trzymam je gdzie. Spóźnił się. Trudno było jednak tak wszystko na raz. I krowy, i świnię i owce. No, ale lepiej późno, niż wcale. Owce najlepsze nie są. Jest jednak dobry tryk i kilka rasowych matek. Za dwa, trzy lata rozrośnie się owczarnia.

— No, stary koniu, nie bódz — krzyknął na tryka.

Adam Sar

MAJ

LUDWIK Maj podczas obu dni Krajowego Zjazdu Korespondentów Chłopskich, siedział w jednej niezmiennie pozycji, lokcie wsparł na kolanach, głowa tonała w dłoniach. W twarzy — zdawało się — choroba.

A to było napięcie. Napięcie, które kulało w tym młodym, pięknym obliczu górala, jak rzeźbierz w skale. Maj matorolny, Maj przed laty obalamucony, Maj, który w 47 i 48 roku zakupił sobie całą bibliotekę dzieł klasyków marksizmu i czytał. Ale jak? Znacząc ołówkiem, ucząc się fragmentów na pamięć i wprowadzając przeczytane na dyskusje w gromadzie. Wtedy założył gazetkę gromadzką, do której pisał 27 korespondentów z gminy. Nauczył się być pomocnikiem Partii; nauczył się wiazać chłopów w sojusz robotniczy — chłopskim z Partią. Pomógł ożścić gminę z wrogów na przedzie. Ten 36-letni Maj, obok którego siedziałem, chwilami trzymał w rękach głowę, pekiając od zęda, jakie rozpoznał realizować. Jego gmina Bystra podjęła zobowiązanie: jedną trzecią ludności przekazać do wyjazdu na Ziemię Odzyskaną i całą akcję werbunku, pomocy oraz osiedlenia przeprowadzić. Drugie zadanie — przesunąć wszystkie zbędne siły robotce do przemysłu. Maj dopiero co wrócił z miesięcznej pracy w Krakowie na stacji przeładunkowej dla Nowej Huty. Pojechał, aby wziąć w siebie tę głębię przeżyć, jakich zaszłał nowi robotnicy, którzy na początku bierał łopate albo ładunek na plecy i już wtedy widział swoją przyszłość: twórców gigantu i nowego miasta, widzą siebie przyszłych obywateli i mistrzów hutników, elektromonterów, majstrów i inżynierów.

Osilek chłopski w pierwszym tygodniu prawie ustał. Inne mięśnie miały tu decydować. Ale przeżył wraz z innymi chłopami to samo. Honor dorównania tempu, honor współzawodnictwa. A po tygodniu mógł powiedzieć — lżejsza tu praca, można w górę ciągnąć. Maj teraz, agitator werbunku sił roboczych rzucił na zjeżdżnię wezwania krakowskiemu sekretarzowi KW, — licząc na nas, na chłopów z Podhala!

Trzecie zadanie — to walka Mają o czasowo przejściowe rozszerzenie

bazy paszowej na Podhalu. Koncepcja do dyskusji. Ale oręduje w jej imieniu działacz terenowy. Nim lasy urosną można i rależy powiększyć hodowlę. Projekty Mają opierają się na rachunku; na konkreatach.

Wreszcie czwarte — dla którego tamte trzy są pomostem konsekwentnie i szeroko zaplanowanym — spółdzielczość produkcyjna na Podhalu. Na walczącym o nowe Podhale! Marszałek Zambrowski słuchając Mają, powiedział — państwowe myślenie u tego matorolnego górala.

Piotr Chmura.

WILCZAK

SPROBUJMY odtworzyć typową, a przecież równocześnie niezwykle sytuację w jakiej znalazł się Wacław Wilczak z gromady Wysokiennice, gm. Gluchów, korespondent „Zielonego Sztandaru”. Oto w lutym ub. r. otrzymał z redakcji list następującej treści:

„Jak to jest, że wszyscy mieszkańcy nie widzą „skandalów” w spółdzielni, tylko Wy je widzicie i wciąż piętnujecie je. Gromada Wysokiennice jak i gmina Gluchów nie podziela Waszych wniosków. Otrzymałyśmy wyjaśnienie od spółdzielni i organizacji miejscowych. Wszyscy zaprzeczają temu co donosicie. W takiej sytuacji musicie zrozumieć, że wypadła nam tylko zrzędnąć ze współpracy z Wami!”

Wilczak 5-hektarowy chłop liczy dziś 55 lat. Z gorczyca wspomina międzywojenne lata, kiedy to musiał wysłać dwu najstarszych synów „do kulaka na wyższą uczelnię”.

Było coś wzruszającego w prostych słowach posłusznego korespondenta. Pisze już od roku 1948, a pamiętny list z redakcją zamknął 3 lata nieustępliwej walki z kilkoma gluchowskimi. Trzy lata samotniczej walki! Po nich — „nóż w serce” — tak odczuł stanowisko redakcji jej terenowy współpracownik.

Czyżby więc nastąpiła śmierć korespondenta, a na warszawskim, później i łódzkim zjeździe mówił wspomniany dawne lata korespondent-emeryt? Otóż — nie. Po przeszło pół roku Wilczak otrzymał drugi list z redakcją, w którym można m. in. przeczytać:

„Zdemaskowana, zgromadziła kilka gluchowskich potrafiła długo się trzymać kosztem krzywdy chłopskiej. Władze powiatowe nie wniknęły w skargi ludności, uważając, że „wszystko w porządku”. Dobrze napisaliście, że „Gluchów to drugie Gryfice”. Macie dużą zasługę w zdemaskowaniu łajdaków... Uważamy, że nie nie stoja na przeszkodzie naszej dalszej współpracy. Pisze do nas...”

Ktożby to nie chciał wiedzieć jakiego perypetie przeszedł korespondent „wciąż i wciąż piętnujący” i jak to się stało, że na przekór dobrze umocnionej kłacie odniósł po przeszło 3 latach walki zwycięstwo?

Wilczak odpowiedział tylko na drugie pytanie, przemilczając domne upokorzenia. Nie mówił o drzwiach GRN-u zatraskiwanym mu przed nosem, „urzędowych” piśmie skłujących go w dalekiej Warszawie, ari anonimach obiecujących mu „suchą gałąz ino przyjdą amerykańskie”. Odkrył jedynie tajemnicę swojego zwycięstwa. Okazała się ona nadspodziewanie prosta.

Zjechała do gluchowskiej gminy ekipa łączności z łódzkich zakładów stalowych. Posiwalali, w polowie zniechęcony do pracy korespondent chłopski zwierzył się ze swoich kłopotów młodemu robotnikowi Bieńkowi. I wypadki potoczyły się odtąd błyskawicznie. Nastąpiły zdecydowane interwencje władz wojewódzkich, Partii, „samochody aż furczyły” — mówił Waleczak. Kłik gluchowską „składowano, rzeucziwa sklepowa GS powędrowała po 3 latach nadużyć do więzienia. A ten ruch w województwie spowodował artykuł Wilczaka, pierwszy w jego życiu, skreślony dla gazetki partyjnej — „Głosu Robotniczego”. Jakież z tego faktu wyciągnął wniosek?

Dział Wilczaka był chłopem, ojciec robotnikiem, on sam jest chłopem, a dwaj synowie — to przewodnicy pracy w łódzkich fabrykach. Obok istniejących węzłów krwi zadziergał gluchowski korespondent wierz polityczną z klasą robotniczą i jej Partią. Organowi wojewódzkiemu przybył dobry korespondent. Nie o to jednak głównie chodzi. Wilczak, powołując się na doświadczenie polityczne tow. Bieńka, który niezwykłe szybko rozgrzył stosunki klasowe w Gluchowie — wezwał wszystkich zebranych do poszerzenia spojrzenia ekonomicznego z miastem o bezpośrednio polityczną w pracy korespondenta.

Mimo kłopotliwej i bogatej praktyki Wilczak wiele nauczył się od młodego korespondenta robotniczego. W osobie Bieńka uznał niejako produkcyjną rolę klasy robotniczej w walce politycznej. Zachwycił go jakościowo wyżej zorganizowane formy pracy fabrycznych korespondentów. Już nawet nie kluby korespondentów zwróciły jego uwagę, ale brygady — idące na robotę nie do swojej lecz innych fabryk, gdzie powstała groźna sytuacja. Te właśnie społeczne „patrole” korespondentów robotniczych urzekły Wilczaka. Takim patrolom była przecież ekipa łączności, której Gluchów zawdzięcza oczyszczenie z wrogów. Dziś żniwa i skup w gminie gluchowskiej idą dobrze, lecz trzeba wspomagać, otoczyć czujnością, patrolować irne, słabsze gromady.

Wiesław Jajdziński

SEWERYN SKULSKI

POWIAT LIPNOWSKI UMACNIA SPÓJNIĘ

WIADOMO w jakim stanie zastał nasze rolnictwo po rozgromieniu hitlerizmu przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie. Nie było trzody chlewnej, nie było bydła, nie było koni, owiec, narzędzi rolniczych, wozów i nawet części nie było w ręku najprostszymi narzędziami w gospodarstwie. Dzięki pomocy władzy ludowej oraz pomocy radzieckiej i dzięki ukochaniu ziemi przez chłopów, już po czterech i pięciu latach wyteżonej pracy dogналиśmy przedwojenną gospodarkę władz sanacyjnych, pod względem wysokości plonów naszej ziemi. Ale nie tylko w tym jest nasz cel aby przedwojenną gospodarkę rolną odgonić. Chodzi nam dziś o to, aby nasza ziemia wydawała tyle plonów, ile nam potrzeba, to jest co najmniej dwukrotnie więcej w porównaniu z przedwojennymi. Cudów nie ma i my w cudy nie wierzymy, ale wierzymy, że przy zrationalizowaniu uprawy, przy doborze ziarna, przy maszynowej uprawie i planowej paacy, przy daniu takich i takich ilości nawozów sztucznych, jakie i w jakiej porze ziemia powinna otrzymać, dla należytej vegetacji i odkarmiania zbóż czy okopowizny, oleistych i włóknienniczych, osiągniemy zamierzone cele i naszą gospodarkę rolną postawimy na stopniu zadowalającym nas i nasz przemysł.

Nie będę operował krajowymi statystykami o obecnym stanie rolnictwa i podwyższaniu się plonów. Dla zobrazowania stanu rzeczy w dobie dzisiejszej, bierzemy tylko jeden powiat lipnowski w województwie bydgoskim, powiat z ziemią średnią, a nawet w trzech gminach jego z ziemią piaszczystą i żwirowatą. Powiat lipnowski już w roku 1949 przewyższył wydajnością ziemi wydajność z czasów rządów sanacyjnych, a w roku 1951 produkcję rolną jeszcze bardziej podwyższył. Po zbiorach w roku 1951 okazało się, że Państwowe Gospodarstwo Rolne na terenie powiatu w stosunku do produkcji rolniej na folwarkach w roku 1938 wykazały wyniki o 20 procent lepsze. To znaczy, gdzie dziedzic zbierał 100 kwintali zboża, dziś państwo zbiera 120 kwintali. Natomiast spółdzielnie produkcyjne na terenie powiatu wykazały nadwyżkę o 14 procent więcej w stosunku do zbiorów w roku 1949 na tych samych obszarach ziemi, a indywidualne gospodarstwa wy-

kazały najmniej zwyczaj w porównaniu do stanu przedwojennego, bo tylko o 6 procent.

O czym to mówi. Mówi, że Państwowe Gospodarstwo Rolne o wiele wcześniej od spółdzielni produkcyjnych zastosowały zorganizowaną, maszynową i racjonalniejszą gospodarkę na ziemi, podczas gdy spółdzielnie produkcyjne są dopiero w toku tych zastosowań, a pomimo tego już takie rezultaty wyższości osiągnęły nad indywidualnymi gospodarkami. Znaczący to, że zespołowa gospodarka i zespołowa praca daje i da o wiele lepsze wyniki. A trzeba przy tym i to jeszcze zauważyć, że w PGR i w spółdzielniach produkcyjnych na takich samych obszarach ziemi porównując z obszarem ziemi na indywidualnych gospodarstwach, pracuje o wiele mniej ludzi, przy coraz większej ilości zastosowanych maszyn i mają oni wielokrotnie szersze możliwości produkcji rolnej, a to znów dla przemysłu będzie mieć nie małe znaczenie, gdyż przemyśl w dalszym ciągu będzie się rozszerzał i zapotrzebowanie świeżych rąk do pracy będzie wzrastać, a te świeże ręce muszą przysięść do miasta, do przemysłu ze wsi.

Ciekawe jest naprawdę, jak szybko odpycha do miast i do przemysłu ludność ze wsi. Przez pierwsze trzy lata Planu Sześcioletniego ze wsi z terenów powiatu lipnowskiego do miasta przeniosło się około 3 tysiące osób, które już na wieś nie powrócą. Czegoś podobnego nikt nie byłby się doczekał za czasów sanacyjnych. Ale ten szybki i tak liczny odpływ ludności wiejskiej do miast, wymaga szybkiego podnoszenia produkcji rolnej. Biorąc pod uwagę i to, że w naszym lipnowskim powiecie z ogólnej produkcji rolnej pochodzi 60 procent od bogaczy wiejskich, którzy niejednokrotnie ociągają się z obowiązkowymi dostawami, a nawet sabotują, przed nami leży konieczność gospodarki zespołowej. Po ostatnim rozporządzeniu władz ludowych o dostawie obowiązkowej mleka, mieliśmy dowody, jak bogacze wiejscy odnoszą się do tego rozporządzenia i do potrzeb klasy robotniczej. Taka bogaczka, Karcewska w gromadzie Konotopie, w gminie Jastrzębie posiadająca połowę prawie ziemi w tej gromadzie, gdyż posiadała jej około 50 ha, do dziś jednego litra nie dostarczyła do zlew-

ni. To samo robi bogaczka Dąbrowska w gromadzie Świętosław. To samo robią inni bogacze na terenie powiatu lipnowskiego. Zboża państwu sprzedac nie mogli, bo go rzekomo nie mieli, ale dzisiaj przy zniwami potrafią brać po 130 złotych za sto kilo żyta.

Gdy uchwałę grudniową Komitetu Centralnego PZPR wprowadzimy w czyn i zastosujemy ją w praktyce, jak ją zastosowali w gromadzie Łąki, gminy Narutowo, pow. Lipno, to socjalizację wsi przyspieszymy. Nie zapominajmy o ciągłym przypomnieniu o znaczeniu spółdzielczości, o potrzebie i konieczności, o dobrych wynikach planowej pracy i korzyściach jak dla pracujących tak i dla państwa i o znaczeniu tego na arenie światowej.

Może się zdawać ciekawym, jak zastosowano w praktyce uchwałę grudniową Komitetu Centralnego PZPR. W gromadzie Łąki Podstawowa Organizacja Partyjna liczyła dość pokaźną liczbę członków, ale żadnej poważnej pracy w gromadzie nie było i jakos nie można było ruszyć z miejsca w przebudowie wsi. Dopiero uchwała grudniowa dała atut sekretarzowi Stanisławowi Sliwiskiemu do usunięcia z partii czterech wrogów klasowych, którzy najuporczywiej głosili, że w gromadzie nie ma wroga klasowego, a sami nimi byli. Oni to zwalczały nie tylko spółdzielnie produkcyjne, ale jednocześnie każdą akcję społeczną. Po usunięciu ich z szeregów partyjnych niebawem w gromadzie powstała spółdzielnia produkcyjna z dwudziestu członkami, a dziś spółdzielnia liczy już przeszło trzydziestu członków, a do partii poczęły napływać coraz liczniejsze podania o przyjęcie do organizacji partyjnej. Na miejsce usuniętych warchołów idą do partii wartościowi ludzie, spośród spółdzielców jest chęć pracy i już niektórzy wyróżniają się jako przodownicy pracy.

Jest to jeden z przykładów mądrej i dobrej pracy w gromadzie. Nie specyficzne warunki, na jakie się nieraz narzeka, ale niewłaściwy kierunek pracy rezultatów nie daje. Jeżeli w naszych gromadach nie zastosujemy uchwały grudniowej, tam gdzie ją zastosować powinniśmy, to się wiele Polsce nie przysłużymy.

Seweryn Skulski

FRANCISZEK STROJOWSKI

CHWILA NA SZOSIE

KIEROWCA zwalnia biegi i komunikuje, że „motor” jest przegrzany i musimy zatrzymać się na pół godziny, aby mógł ostygnać. Wsiadamy. Powietrze pachnie dojrzwymy ziołem. Za rowem przy szosie widać pasące się dwie krowy i kilka owiec. W cień wysokiego, rozłożystego krzaka spoczywa dziewczyna lat 18-u i czyta „Problemy”. Siadam obok i zaczynam rozmowę. Ma lat 18, ukończyła szkołę podstawową, należy do ZMP. Do szkoły średniej nie poszła. Nie rezygnuje jednak z czytania i rozszerzania swoich wiadomości.

— U nas we wsi jest punkt biblioteczny — opowiada Krystyna K. — i stąd wypożyczam książki. U nas teraz dużo ludzi czyta książki i gazety. Szczególnie młodzież. Ale czytają też i starsi, i ci, którzy niedawno jeszcze byli analfabetami, tak jak i mój tata. Ale — powiedział panu — jaki on teraz dumny! Nabral pewności siebie i jakoś dumnie patrzy po świecie.

— A jak dawno czytacie, koleżanko, „Problemy” i co was do tego skłoniło? — pytam zaintrygowany, czy jest to tylko przypadek, czy też rzecz przemysłowa i celowa.

— Z tymi „Problemami” to było tak — opowiada dziewczyna dalej. — Byłam w Warszawie na zjeździe ZMP, gdzie spożyłam dużo koleżanek i kolegów z różnych stron kraju. W rozmowach koleżeńskich słyszałam, że to ciekawe pismo i że można się z niego bardzo wiele nauczyć. Zarezerwowałam sobie jeden numer i przywiozłam do domu. Zaczęłam czytać. Początkowo zdawało mi się, że jest dla mnie za trudne. Ale przeczytałam cały numer. Czasem musiałam zaglądać do słownika wyrazów obcych, czasem pytałam o pewne rzeczy kogoś z naszych nauczycieli — i jakoś to poszło. Zaprenumerowałam sobie teraz pismo na cały rok. Po przeczytaniu pomyślałam koleżankom i kolegom z naszego koła zetempowskiego. Bo, wie pan, jest coraz więcej takich, którzy „Problemy” chcą czytać.

— A co was w piśmie interesuje? Tam są przecież artykuły ze wszystkich dziedzin wiedzy.

— Wszystko! I astronomia, i matematyka, chemia, fizyka — wszy-

stko! Chcę poznać w miarę moich możliwości wszystko w takim stopniu, żebym mogła rozumieć dobrze otaczający mnie świat, życie oraz jego sens. „Problemy” pomagają w tej dziedzinie, bo to pismo popularno-naukowe. Chciałabym tylko mieć trochę więcej czasu na czytanie niż mam.

— Czy dużo przeznaczacie czasu na czytanie?

— W dzień powszedni bardzo niewiele — mówi moja rozmówczyni z westchnieniem — bo przecież roboty w gospodarstwie nigdy nie brakuje. Od świtu do nocy robota i robota. Tyle tylko mogę czytać, co w dni deszczowe oraz niedzielami. Wieczorami też czytam, ale mama krzyczy, że wypalam naffę, że się nie wyspię i będę jutro przy robotcie dziermała... Ach, żeby to było u nas światło elektryczne! Aby to życie nasze tak urządzić, by czas mieć na roz-

rywkę na naukę, na czytanie książek i gazet...

— A czy sądzicie, że takie życie osiągniecie?

— Już myślimy o założeniu u nas spółdzielni produkcyjnej i mamy sporo chętnych. Ale są jeszcze wahający się, którzy więcej skrobią się po głowach i myślą, niż robią. Tak jest u nas we wszystkich wsiach. I tu, koło Pułtuska i tam, koło Makowa i gdzie indziej. Znam młodzież z bardzo dalekich okolic i znam jej marzenia. Im więcej czytamy, tym więcej nam tęskno do innego życia. Starsi, którzy czytają, też zaczynają myśleć tak jak i my. Książka, gazeta, radio i kino otwiera oczy. Mnie się zdaje, że każdy dzień przybliża nas do upragnionego celu.

Sygnał samochodu natarczywie nawoływał do powrotu. Przejeżdżając zobaczyłem dziewczynę na nowo pochyloną nad książką.

Franciszek Strojowski

PIOTR PIGWA

GAZETKA W MOSZCZY

WYSTAWMY sobie małą, 30-numerową wioskę Moszcze, wyposażoną, jakby się zdawać mogło na ironię, w piękną świetlicę, podczas gdy w ludnych okolicznych gromadach świetlic brak. „W naszej wiosce palców u ręki starczy, aby policzyć ZMP-owców” — mówił młodzieńki redaktor gazetki gromadzkiej — kol. Krawandk.

A jednak tych kilku zdołało zgromadzić wokół swej świetlicy większość młodych z okolicy. Powstał komitet redakcyjny gromadzkiej gazetki ścienniej. Zaczęło się od „dobrego poziomu artystycznego”, czyli mnóstwa kolorowych, wyszukanych esów-floresów. A w środku — pustka, na której wypełnienie znajdowali redaktorzy slogany przepisane z gazet. Następna faza w życiu gazetki polegała na przepisywaniu najważniejszych artykułów i przemówień, co miało taki skutek, że prenumerata gazet we wsi nieco spadła. A skup i kontraktacja sły nieśięgo. Kiedy na wiosnę bieżącego roku trwały gorączkowe przygotowania

do siewów, młodzi zajmowali się szkoleniem ideologicznym na łamach szkolnego organu. A tymczasem siewy przeszły nieźle, kuleje natomiast odstawa mleka i w dalszym ciągu kontraktacja. W okresie przedwioennym komitet redakcyjny skupił swą uwagę na Złocie, lecz nie umiał sobie poradzić ze zobowiązaniami przedzłotowymi, które — jakby nie było — wypadało koniecznie podjąć.

W tej to fazie rastąpił zasadniczy przełom. Doświadczony w produkcji średnioludny chłop z Rakowa zaproponował komitetowi, że opiszcie co widział w szczecińskich spółdzielniach produkcyjnych, bo mu się „od urodzenia kiepsko gada”. I stało się. Gazetkę oblegali chłopci. Musiano wydać kilka dodatkowych numerów i wywieźć je w gminnych instytucjach. Nie na tym koniec. Przyszedł z rakowskiej kolonii biedniak Suwałka z artykułem o niedociągnięciach w pracy GOM-u. „Wykaligrafujta ino prosto, bo mnie jakoś nie wychodzi”. Krawendyk odkrył w sobie talent karykaturzysty, w każdym razie kierownik GOM-u spał na rysunku „jak żywy”.

W maleńkich Moszczach wisi już pierwsza gazetka żywna, pokazuje produkujących chłopów, chłopsze bułanietów. Młody komitet wzbogacił się o starszych, doświadczonych chłopów — „wycieczkowiczka”. Seda-ka, Suwałka, co to krzywo lecz za to dobrze mu się pisze i korespondenta prasy centralnej i wojewódzkiej. Świetlica stoi przy drodze. Nieraz do zatrzymują się tu chłopci donosząc co słychać po gromadach. A żywna są w biegu.

Piotr Pigwa

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL	
Redaguje Komitet	
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.	
Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63	
Warunki prenumeraty:	
miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł.	
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.	
RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-24205	